ODWRÓT...

BOJE POLSKIE

ILUSTROWANE EPIZODY, OBRAZY, PORTRETY HISTORYCZNE Z DZIEJÓW NASZYCH WOJEN NARODOWYCH

TOM XII

TADEUSZ PIETRYKOWSKI

ODWRÓT...

GARŚĆ WSPOMNIEŃ I OBRAZKÓW WOJENNYCH Z CZASU WALK BOLSZEWICKICH 1920 R. NA PODSTAWIE PAMIĘTNIKA ADJUTANTA 67 P. P. (9 PUŁKU STRZELCÓW WIELKOPOLSKICH)

ISTOTĄ WOJNY NIE JEST ZABÓJSTWO,
LECZ SKŁADANIE ŻYCIA W OFIERZE.
ZYGMUNT WASILEWSKI

POZNAŃ
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA KAROLA RZEPECKIEGO
1926



Tadeusz Pietrykowski
były adjutant 67 p. p. por. rez. 9 p. strz. (wlkp.) w czasie odwrotu w roku 1920.

WSPÓŁTOWARZYSZOM BRONI

KTÓRZY W PAMIĘTNYCH DNIACH SIERPNIA 1920 R.

DZIELILI ZE MNĄ DOLĘ I NIEDOLĘ

WALKI KRWAWEJ O CAŁOŚĆ NASZEJ OJCZYZNY

NINIEJSZE KARTKI POŚWIĘCAM

AUTOR.

Panu Dyr. Z. Mocarskiemu,
prezesowi Tow. Bibljofilów im. Lelewela
w Toruniu

w upominku

Toruń w listopadzie 1926

Autor.

W POZNANIU, W I ROCZNICĘ ZWYCIĘSTWA NASZEJ ARMJI NAD BOLSZEWIKAMI.

ILLUSTRACJE PIÓRKOWE WYKONAŁ
BERNARD SIERACKI

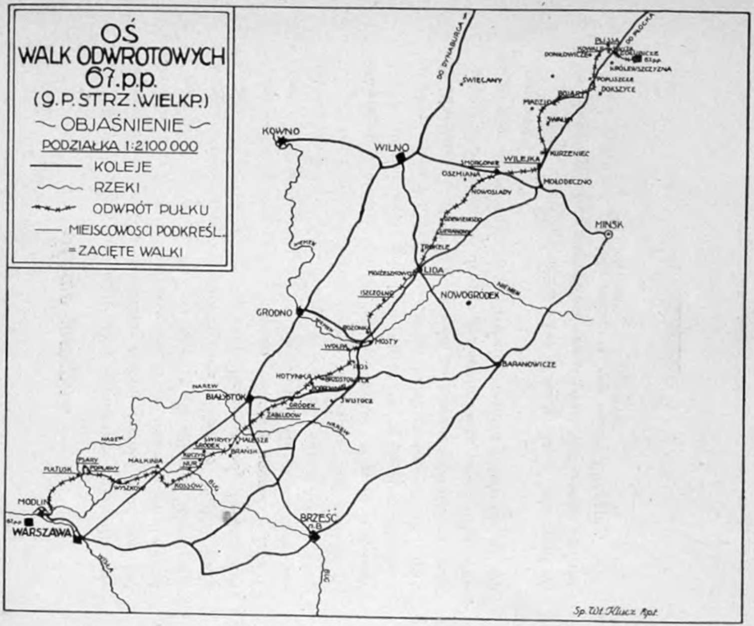
CZCIONKAMI DRUKARNI POLSKIEJ TOW. AKC. W POZNANIU

Słowo wstępne.

Kilka luźnych kart wyjętych z pamiętnika adjutanta pułkowego 67 p. p. (9 p. strzelców wielkopolskich) ma wywołać przed oczy czytelnika wizję strasznych dni odwrotu armji naszej z nad Dzisny, jeziora Szo aż hen do Modlina i Warszawy, w owych pamiętnych miesiącach lipca i sierpnia 1920 r., kiedy to żołnierz polski, gnany przez niezliczone hordy bolszewickie z wycieńczenia fizycznego i depresji moralnej upadał, a jednak broni swej z rąk nie wypuszczał, poczuwając się do świętego obowiązku ratowania Orła Białego przed nową niewolą.

A teraz słów kilka pod adresem Czytelnika. Pamiętnik, który niniejszem publikuję, powstał na polu walki. Często w gradzie kul, w obliczu wroga, gdy była chwila wolna, pisałem dorywczo w mem notatniku, aby utrwalić na papierze ważny jakiś fakt. W niniejszem wydaniu książkowem zachowano wiernie styl i wyrażenia pierwotne, aby dziełko posiadało cechy pamiętnika pisanego w polu, odtwarzającego wiernie przeżycia żołnierza i oficera frontowego.

Niech dziełko niniejsze choć w małej części przyczyni się do gloryfikacji tego naszego szarego piechura, od którego wytrwałości i dzielności zależały wówczas losy naszej Ojczyzny.



Plan odwrotu 67 p. p. z Gołubicz do Modlina w kampanji 1920 r.

Odwrót...

Motto: Nieraz, żołnierze, łzy cisnęły mi się do oczu, gdym widział wśród szeregów wojsk prowadzonych przezemnie wasze bose, pokaleczone stopy, które już przemierzyły niezmierne przestrzenie, gdym widział brudne łachmany, pokrywające wasze ciało, gdym musiał obrywać wasze skromne racje żołnierskie, i żądać często, byście o głodzie i chłodzie szli do krwawego boju...

Z rozk. Nacz. Wodza nr. 38. 1920 r.



Panoczku—kozacy tu byli... str. 11

Pierwsze dni lipca 1920 roku.

Nasz 9-ty pułk wielkopolski odpoczywa po krwawych walkach majowych, które staczać musiał z bolszewikami zaraz po swym przyjeździe z Wielkopolski.

Stoimy w rezerwie i uzupełniamy nasze przerzedzone szeregi zapasem przybywającym z bataljonu zapasowego z Jarocina.

Żołnierze nasi gwarzą o stronach ojczystych, wspominają dni chwały i triumfu naszego pułku na odcinku nadnoteckim i rawicko-leszczyńskim i w duszy przeżywają jeszcze raz dni przejęcia Leszna i Rawicza z rąk niemieckich.

Na froncie cisza.



Pułkownik Stanisław Thiel
dowódca 33 bryg. piechoty polskiej w r. 1920

Pewnej spokojnej nocy, gdyśmy się tego najmniej spodziewali, zaalarmowano nas wieścią, że bolszewicy na całym froncie atakują i, że siły nasze frontowe za słabe.

Nad ranem doniosła nam 33. brygada, że bolszewicy przedarli się nad jeziorem Szo i atakują nas z flanki.

Dano nam nagły rozkaz do odmarszu i wykonania kontrataku nad jeziorem Plissą.

Wszystko tak dobrze się rozwijało; pokazaliśmy jeszcze raz, co pułk wielkopolski umie, a tu nagle — nakazano ogólny odwrót.

Dywizje frontowe, które miesiące całe zmagały się z bolszewikami, nie wytrzymały naporu większych mas i zaczynają się cofać ze swych stanowisk.

My, rezerwa, jesteśmy za słabi, by przeciwstawić się bolszewikom.

Wskazano nam odcinek, gdzie mamy zabezpieczać odwrót ogólny. Nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z ogólnej sytuacji.

Dla rekonesansu jedziemy z dowódcą pułku do pobliskiej wioski Muljary, gdzie miał być nasz tabor bojowy.

Dojeżdżamy do pierwszej zagrody. Spokój i cisza wszędzie, upał panuje ogromny; zboża dojrzałe wokoło wioski proszą się wprost o żniwo.

Wjeżdżamy na podwórko zagrody, a tu kilku chłopów obdartych z płaczem rzuca się do nas i opowiada z lękiem i strachem:

— „Panoczku — kozacy tu byli, waszych żołnierzy i wózki zabrali, nas obdarli, wszystko zabrali, uciekli i w lesie są ukryci..."

Widzimy na tle złotych kłosów i słonecznego nieba tumany kurzu świadczące o bliskości zbójeckich kozaków.

Wracamy do naszych wojsk.

Nasz dowódca brygady, podpułkownik Padlewski, kazał ściągnąć pułki na jedno miejsce, stworzyć obóz warowny, bo doszły nas głuche wieści, że bolszewicy znajdują się już na naszych tyłach, że tabory rozbite, że wszelka łączność z sąsiedniemi dywizjami przerwana.

Żołnierz nie zdaje sobie jeszcze sprawy z położenia; odpoczywa swobodnie.

Oficerowie naszej brygady zebrali się na wzgórzu — był to stary cmentarz obrosły świerkami, jak to na Białorusi często się spotyka — i zajęli miejsca na starych grobach kamieniami pokrytych i radzą, co dalej czynić należy.

Innej rady niema, trzeba się przedzierać przez bolszewików.

Przystępujemy więc do wykonania tego planu.

Rusza cała 33. brygada z taborem, artylerja i piechota, zdecydowana z bronią w ręku torować sobie drogę przez wojska nieprzyjaciela.

Istotnie bolszewicy znajdowali się już na naszych tyłach.

Napotykamy wnet nieprzyjaciela.

Rozpoczyna się walka na czele naszej kilometrowej kolumny.

Brygadjer, a były nasz dowódca pułku, ppułk. Padlewski, wydaje rozkaz dwom baterjom naszej artylerji (17. pap.) ustawienia dział przy szosie i ostrzeliwania bolszewików z prawej flanki nas atakujących.

Było to pod Kowalami; dopóki żyć będę, nie zapomnę tej walki, a przedewszystkiem brawury naszej wielkopolskiej artylerji.

Z szaloną wprost szybkością ustawiono armaty i zaczęto bez przerwy sypać pociskami w kolumny bolszewickie, oddalone od nas już tylko o 300 m.

Bolszewicy byli zupełnie pewni siebie. Szli na nas zuchwale i lekkomyślnie, w nadziei, że bez walki nas wszystkich zabiorą do niewoli. Ich dowódcy kompanijni jechali konno na czele swej kolumny kompanijnej, jakby na placu ćwiczeń.

Nasi artylerzyści dali im wspaniałą odprawę!

Obie baterje celowały dobrze, mając cel przed sobą. Pociski padały wprost, w nadchodzące kolumny bolszewickie. Po każdym wystrzale widzieliśmy, jak znikały szyki defiladowe, jak malały kolumny. Części ciała ludzkiego, szczątki ekwipunku bolszewickiego latały w powietrzu. Oszołomiający huk i trzask panował wokoło. Kilkanaście kroków od artylerji, broniącej nas tak dzielnie, ciągnęła się żółwim krokiem nasza kilometrowa kolumna, torując sobie drogę przez płoty, łany złocistych zbóż, a omijając zagrożoną wieś.

Ogień huraganowy spada na głowy bolszewickie, a my pod osłoną artylerji docieramy do bezpiecznego lasu. Raz po raz granat lub szrapnel artylerji bolszewickiej, która zdala słabo zaczęła odpowiadać, wpada do lasu, uderza w naszą kolumnę, zabija konie, ludzi, rozbija tabory, armaty.

Straszny to był dzień, lecz szczęście jeszcze nas nie opuściło. Przedarliśmy się przez wroga.

Nasza artylerja, odpędziwszy krwawo kolumny bolszewickie, zaprzęgła konie do armat i podążyła pod osłoną piechoty do naszej kolumny.

Wyszliśmy cali z kotła bolszewickiego, — lecz, gdzie stanąć, gdzie się usadowić, gdzie zająć pozycje? Bóg wie! Nie mamy kontaktu z naszą 17 dywizją; wszelka łączność z sąsiadami przerwana.

Maszerujemy więc dalej, bez rozkazów, bez dyrektyw. Maszerujemy bez przerwy cały wieczór, całą noc, znużeni, zmęczeni, brudni, obdarci, gdyż przedzierać się trzeba było przez zboże, przez gęste lasy i krzaki, przez błota i piaski.

Dzień cały nic nie jedliśmy, a już przedtem 2 dni całe żywiliśmy się tylko czarnym chlebem, wodą i kawą, która się jeszcze znalazła w kuchniach polowych. Dowozu żywności już od trzech dni nie mamy . . .

A to miał być dopiero początek naszego odwrotu, naszej tułaczki! — Miały przyjść czasy jeszcze gorsze, dni bezustannych walk, mozolnych marszów bez jadła i napoju, bez snu i odpoczynku.

Nadzy i obdarci...

Motto: A potem głód, nędza, zmęczenie, choroba, wszystko to naraz cię gnębiło...
Erckman Chatrian: „Bitwa Narodów."

Nad ranem odpoczywaliśmy chwilę, gdyż siły zaczęły nas opuszczać. Znużeni żołnierze rzucali się na ziemię tam, gdzie stali, nie szukając sobie wcale wygodniejszego miejsca do spoczynku.

Pamiętam, stanęliśmy właśnie nad brzegiem moczarów. Niejedni kładli się nad nimi i zapewne utonęliby, zsuwając się w błota, gdyby warty nasze nie odpędziły ich od tego niebezpiecznego legowiska.

Zimno nam było.

Niecono ognisko a było dosyć materjału palnego. Na miejscu, gdzie odpoczywaliśmy, leżało drzewo, leżał rynsztunek wojskowy, porzucone plecaki, czapki, łachmany. Widocznie już wojsko tędy przechodziło, wojsko fizycznie wyniszczone, żołnierze śmiertelnie zmęczeni, gdyż wszystko, co im ciążyło, porzucali.

Udało nam się rozniecić ogień, czerwony, dymiący. Obojętni na głód i zimno, patrzeliśmy półsenni na ten dymiący ogień.

Naraz jak duchy, jak mary senne, zjawiają się przed nami całe kolumny wojsk naszych, które cofają się tą samą drogą, co my.

Bez słowa, bez skargi, półsenni, półżywi, w niezmierzonym szeregu przechodzą koło nas, wymijają nasz obóz, idą dalej, nie pytając nas wcale co my za jedni.

Maszerują dalej, raczej czołgają się; tak z przyzwyczajenia poruszają się im nogi.

Patrzymy na nich, jak na duchy, a oni wcale się nie przejmują naszym widokiem.

— Biedacy, oni jeszcze więcej od nas się nacierpieli; wracają wprost z frontu, po okropnych walkach bez końca. Wracają obdarci, półnadzy, bez butów, bez czapek, do włóczęgów jakichś więcej, niż do żołnierzy podobni. Wszystko pogubili lub postradali — prócz karabina, który kurczowo trzymają w ręku.

Karabin — to dziś jedyna nasza ostoja, jedyny przyjaciel. Ani ciepłem okryciem, ani bochenkiem chleba, ani sztuką mięsa nie okupiłbyś go — on ci wszystko, coś stracił, jeszcze wrócić może.

Żołnierz bez karabina, to już nie żołnierz, to żebrak, to włóczęga.

I przeszły te mary, te wojska znędzniałe, obdarte, bose, które broniły frontu naszego często po pierś w błotach i wodach pozostawając dnie całe, te wojska, które dla Polski głód i nędzę znosiły w zaciętej walce z hordami bolszewickiemi.

Gorące słońce lipcowe wzeszło i rozproszyło nasze myśli ponure.

Chcemy wszystko znosić, chcemy walczyć i wytrwać, tylko nam powiedźcie, gdzie kres naszego odwrotu, gdzie pozycje, gdzie nadzieja wstrzymania hord bolszewickich!

Wilejka.

Miasteczko powiatowe nad rzeką Wiliją „strumieni rodzicą". Miasto to, położone dziś nad granicą Rzeczypospolitej, miało się stać jakby nowym etapem naszej tułaczki po ziemi polskiej, pod naporem hord bolszewickich.

Znałem Wilejkę jeszcze z czasów, gdy byliśmy rezerwą. Pułk nasz przybywszy z zachodnich dzielnic naszej Ojczyzny na Kresy wschodnie, miał jako swe pierwsze miejsce postoju Wilejkę, oraz pobliskie miasteczko Kurzeniec. My, Wielkopolanie, którzy dotąd nieznaliśmy wschodu Polski, po raz pierwszy widzieliśmy tutaj te typowe żydowskie chałupy i „zachwycaliśmy" się porządkiem, jaki w takiem polsko-żydowskiem mieście panuje.

Z czasem jednak zżyliśmy się z temi miasteczkami i zastanawialiśmy się, jakby to można te miasta wschodnie przekształcić na wzór zachodnio-polski.

Wyruszając z Wilejki na front, nie wyobrażaliśmy sobie, że w zupełnie innych warunkach jeszcze raz ją zobaczymy.

Gdyśmy pierwszy raz do Wilejki wkraczali, czuliśmy się zwycięzcami; po raz drugi zaś nie z muzyką, nie triumfalnie weszliśmy do miasta — nie, — jak spłoszone ptactwo, bez krzyku i hałasu obsadziliśmy miasto, które już sposobiło się na przyjęcie bolszewików. Polskie instytucje rządowe już dawno opuściły zagrożony teren, pozostawiając wszystko na łasce Bożej. Ulokowaliśmy się jako tako w opuszczonych budynkach rządowych i czekaliśmy na wroga, który traktem od strony Kurzeńca, pamiętającym jeszcze Napoleona, miał uderzyć na Wilejkę.

Ogólnie panowała w pułku wielka depresja, gdyż z góry wiedzieliśmy, że pozycji nie utrzymamy. Siły nasze były za słabe.

By nic nie zostało w rękach nadchodzących bolszewików, rozpoczęliśmy w nocy pracę niszczycielską. Dworzec, urządzenia kolejowe oraz wszelkie magazyny wojskowe zaczęliśmy wysadzać w powietrze i palić. Wnet łuna pożarna oświetliła niebo lipcowe oraz miasto, które wydawało się wymarłe. Żydzi pokryli się w piwnicach, okna swych chat pozabijali deskami.

Noc całą odpoczywaliśmy z bronią w ręku. Dopiero nad ranem rozpoczął się atak bolszewicki. Broniliśmy frontu do upadłego. Raz po raz przejmowaliśmy w sztabie telefoniczny raport bojowy naszych bataljonów z niedalekiego pola bitwy, że napór bolszewicki staje się coraz silniejszy i że frontu nie utrzymamy, jeżeli posiłki nie na-

dejdą. Rozkaz do frontu brzmiał zawsze: Trzymać pozycję do ostatka.

Spokój.

Raporty ustały; siedzimy w prowizorycznie urządzonym sztabie brygady i pułku spokojnie nad mapami i badamy sytuację.

Telefoniczne połączenie z frontem przerwane.

Naraz krzyk i hałas na ulicy.



Oficerowie 9 p. strz. wlkp. (67 p. p.) przed odwrotem.

Asp. ofic. Goliwąs † por. Fabian por. Kmiotek por. Majewski por. lek. Bartlitz por. Bieszk † por. Ziarnek por. Pietrykowski por. Kostrzewski † por. Klucz.

Patrzymy oknem: piechota nasza w rozsypce ucieka, a za nią kozacy, — tak, kozacy już w mieście pod naszemi oknami.

Konie nasze wierzchowe, które stały przed kwaterą sztabu, uprowadzili częściowo nasi przestraszeni ordynansi, częściowo zabrali kozacy.

Na widok kozaków oniemieliśmy na chwilę. Machinalnie wyciągamy rewolwery, gotowi bronić się do upadłego.

Strzelamy z okien do bolszewików.

Zwłaszcza kolega, por. Józef Trawiński, „kulomiociarz", znany strzelec w pułku, kładzie swym ręcznym „kulomiotem" kilku kozaków trupem.

Patrol kozacki, spłoszony naszym ogniem, pędzi w inną ulicę miasteczka.

Wnet odzyskujemy panowanie nad sobą. Nasz nowy brygadjer, Wielkopolanin z pod Ostrzeszowa, pułkownik Thiel z Doruchowa, odzywa się do nas z największym spokojem: No, panowie, teraz. zdaje się, będzie i na nas czas!

Zabieramy pospiesznie akta i telefon i myślimy o ucieczce przez podwórze, gdyż na ulicy bolszewicy. Na podwórzu szukamy sposobności do wydostania się na boczną uliczkę, na której panuje jeszcze względny spokój. Przeszkadza nam w tem przedsięwzięciu dość wysoki płot. Cóż robić? Każda minuta jest nam droga, może ona decydować o naszej śmierci lub niewoli.

Było nas 5—6 oficerów. Nie namyślając się długo, próbujemy obalić płot, który był jednak dość mocny. Krytyczne jednak położenie, w jakiem się znaleźliśmy (z ulicy dochodzi nas gwar bolszewicki i tętent ich koni), dodaje nam siły. Jeszcze jeden wspólny wysiłek i płot z silnych kłód zbudowany, runął i otworzyła się nam droga na boczną uliczkę Wilejki.

Ostrożnie wychylamy głowy, by zorjentować się w sytuacji. Wnet spostrzegamy na końcu uliczki od strony Wilji patrol kozacki. Kierujemy więc nasz ogień rewolwerowy w tę stronę i skokami uciekamy zwarto na przeciwległą stronę miasta, która, jak dobrze przypuszczaliśmy, była jeszcze wolną od nieprzyjaciela.

Zdala widnieją patrole kozackie.

Strzelamy, by je utrzymać w pewnej odległości od nas. Żołnierze nasi rozproszeni po całem mieście, spostrzegłszy swych dowódców, gromadzą się koło nas. Stara to bowiem zasada żołnierska, że najbezpieczniej przy boku dowódcy, który myśli za wszystkich.

Razem z naszymi pozbieranymi żołnierzami uciekamy skokami, by jak najprędzej wydostać się za miasto. U wylotu miasta jest nas już spora gromada.

Otwieramy teraz ogień karabinowy.

Bolszewicy spostrzegłszy nas, obsypują nas gradem kul i nacierają na nas.

Uciekamy dalej w gradzie kul bolszewickich. Niejeden z naszej garstki jęknął raniony kulą i padł na ziemię, by już więcej nie powstać. Zabieramy poległym resztę amunicji i broń i uciekamy dalej a dalej, odstrzeliwując się co chwilę.

W lesie, za miastem, odetchnęliśmy. Tutaj byliśmy bezpieczni, bo trudno byłoby bolszewikom w lesie z nami wojować.

— Ukrywamy się w lesie jak banda włóczęgów, nie jak wojsko Rzeczypospolitej Polskiej, — pomyślał niejeden z nas i zmarszczył czoło.

— Czy przyjdą lepsze czasy, czy zemścimy się krwawo na psubratach? — pytał się ten i ów, klnąc w duszy bolszewików.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Pociski armatnie padają w lewo i prawo od nas. Wilejka zajęta. Pozycja bolszewicka już za miastem.

Martwe miasto, martwe sioła, martwe pola.

Motto: Wojna nie żywi ludzi, jeno morzy.
Henryk Sienkiewicz: „Ogniem i mieczem".

I ciągle to samo...

Tułaczka, nędza, niedola, walka beznadziejna.



Wychodzi z nory betonowej jakiś człowiek .. str. 18

Dziś pono niedziela, przypomniało nam się, lecz dla nas nie istnieją święta.

Rozkazano nam się cofać na stare niemieckie pozycje pod Smorgoniami.

Smorgonie, to miasto martwe, gruzy, ruiny jeszcze z wojny rosyjsko-niemieckiej.

Kilku mieszkańców, którzy tutaj zostali, gnieździ się jeszcze w tych gruzach, okopach i schronach, pobudowanych przez wojsko niemieckie.

Obraz „miasta" budzi w naszych sercach żołnierskich uczucie litości.

Biedne miasto...

Rozkaz wojskowy jednak nie zezwala nam na rozczulanie się nad gruzami Smorgoń.

Udajemy się na wyznaczone pozycje. Wioska Katjeni jest celem naszego pułku.

Dopytujemy się, gdzie tej wioski szukać trzeba. Nikt dokładnie nam tego powiedzieć nie może.

Ponieważ jednak nasza mapa wskazuje wioskę Katjeni, więc udajemy się w drogę z dowódcą pułku, którym był wówczas kpt. Jan Klein, aby ją odszukać.

Jedziemy przez las, raczej były las, bo dziś tam cała okolica przeformowana, przeistoczona na teren wojennych operacyj; wszędzie okopy, schrony i betony. Tam gdzieś chata stała — świadczą o tem gruzy; tam był lasek, mapa to wskazuje, lecz dziś w rzeczywistości go niema, ogień armatni zmiótł go zupełnie.

Podług mapy musi w pobliżu być wioska Katjeni. Jak daleko okiem spojrzeć, nic nie widać.

Czyśmy zbłądzili?

Przecież nie... Jedziemy jeszcze dalej. Pola puste, martwe; spotykamy kilka drzew, wskazujących na to, że tutaj dawniej był pewnie sad. Tam dalej gruzy, — to świadczy o tem, że stały tam dawniej chaty.

Wychodzi z nory betonowej jakiś człowiek.

Pytamy o Katjeni. On objaśnia: Tak, to tutaj; były tu Katjeni, dziś ich niema.

Wojna zatarła wszelkie ślady tej osady ludzkiej. Chaty znikły z powierzchni ziemi, ludzie pouciekali. Wioska znikła, powstały za to betony i rowy strzeleckie tak trwałe i misternie zbudowane, że przetrzymać mogą najokropniejszy ogień armatni.

Zaiste, smutny to obraz zniszczenia!

Biedna Polska, biedne jej sioła i miasta, a jeszcze biedniejsi jej bezdomni ludziska.

Odkrywszy „wioskę“ Katjeni, wracamy do pułku.

Jadąc przez martwe pola uprzytomniamy sobie, że na tem samem miejscu, gdzie przed kilku laty zacięta toczyła się walka — świadczą o tem ślady jej okropne — za godzin kilka rozpocznie się znów krwawy bój, który może zadecyduje o losach biednej naszej Ojczyzny.

Walki pod Smorgoniami.

Niedziela, 11. 7. 20 r.

Pozycja Smorgonie.

Sztab 67 pp. (9 p. strz. wlkp.): wioska Katjeni.

Pozycja umocniona, betony niemieckie.

Dotarliśmy do pozycyj nam wyznaczonych, w marszu ubezpieczonym. Ppor. Kajetaniak prowadząc straż tylną, odpierał z brawurą ataki kozaków podczas naszego marszu.

Dochodzą nas wieści alarmujące, że bolszewicy już na naszych tyłach, że Wilno zajęte przez Litwinów, Mińsk

i Bobrujsk ewakuowany, że Niemcy szykują się do ataku na Zachodnią Polskę.

— Polsko, czy to już Twój koniec? — pytamy się...

— Nie, nie pozwolimy na Twoją zagładę. My, Twoi żołnierze, na wszystko jesteśmy gotowi. Choć obdarci, głodni i w ciągłym ogniu, jednak bronić się będziemy do ostatniej kropli krwi.

*

Katjeni, 12. 7. 20 r. 13 godz.

Noc przeszła nam spokojnie w tej martwej wiosce. Na froncie względny spokój; gdzie niegdzie strzały. Miasto martwe ze swemi ruinami kościołów i domów sterczy w niebo jako wymowny obraz zniszczenia.

*

Godz. 15-ta.

Nasza brygada donosi nam, że bolszewicy atakują sąsiedni pułk (10-ty p. strz. wlkp.) 68 p. p., i że na trakcie do Smorgoń ciągną bolszewicy z wozami i kulomiotami. Wnet rozpocznie się atak bolszewików.

Rozkaz Naczelnego Wodza brzmi: Obecna linja obronna jest ostateczną; trzymać ją do ostatniego chłopa; zginąć a nie cofać się.

Rezerwy mają wnet nadejść. Chwała Bogu!

*

Godz. 17-ta.

Sąsiedni pułk cofa się pod naporem wroga. Czy utrzymamy się? Wola Boża.

Naczelny Wódz rozkazał zginąć, a nie cofać się!

*

Jeszcze Katjeni, 13. 7. 1920 rano godz. 7,30.

Całą noc utrzymaliśmy się na pozycjach, walcząc z wrogiem, który na chwilę nie daje nam spokoju.

— Co dalej będzie?

Bolszewicy podkradają się pod nasze okopy; w nocy usadowili się już na 400 m od nas.

Walka pozycyjna.

Cofać nie możemy się przecież, bo to ostatnia linja.

— Boże, dopomóż... Dałeś nam Polskę wolną, pozwól ją obronić!

— Nie dopuść, by nad cywilizacją naszą miał panować bolszewik, żyd, barbarzyńca!

— Boże, o zwycięstwo, o wolność Cię prosimy!

Po walce nocnej spokój na froncie.

*

Rano godz. 8-ma.

Żołnierze znużeni walką nocną odpoczywają. Ja spać nie mogę. Niepokój mię dręczy.

— Czy się utrzymamy na naszej linji obronnej?

— Czy długo tutaj w Katjeni zostaniemy?

Myślę o losach naszej biednej Ojczyzny, o jej przyszłości zagrożonej.

* * *

...Podczas odstępowania na linję Smorgoń, gdy Kozacy napadali nasze straże tylne, gdy kulomioty grały, pędziłem z rozkazami dowódcy do tyłów naszej kolumny. W gradzie kul, gdy widziałem bezowocne nasze zmagania się z kilkakroć silniejszym wrogiem, łzy stanęły mi w oczach.

Nie wstydzę się tych łez; płakałem z świadomości naszej niemocy, z obawy, że może nastały ostatnie godziny naszego młodego państwa.

Wyciągnąłem z zanadrza drogie fotografje moich najbliższych i z łzą w oku patrzałem na nie, żegnałem je...

Obowiązek wołał; nie było czasu na rozczulenie. Łzę zdusiłem w oku i pognałem na mym karym koniu do tylnej straży, która właśnie niszczyła most.

*

Godz. 13-ta.

Jeszcze wciąż na froncie spokój. Ciekawe, czy to cisza przed burzą?

Jakieś gazety przesłano nam z taborów.

W Warszawie dopiero teraz zrozumiano sytuację.

Tworzy się Rada Obrony Państwa.

Dyktatura Naczelnika Państwa.

Młodzi na front.

Mobilizacja pracy.

Sytuacja Polski poważna.

Niemcy grożą.

Bolszewicy przerwali linję Kowel—Równe.

Lwów znów zagrożony.

11 b. m. odbył się plebiscyt na Warmji i Mazurach. Kto wie z jakim wynikiem? Walka krwawa na Wschodzie nie pozwoliła nam śledzić rozwoju walki bezkrwawej, jaką na Zachodzie Polski był plebiscyt na Warmji i Mazurach.

Nasz Brygadjer, pułkownik Thiel, był właśnie u nas. Obawiamy się o nasz odcinek, bo nasze bataljony tak się przerzedziły, że liczą zaledwie 150—250 żołnierzy.

Godz. 17-ta.

Właśnie wrócił jeden żołnierz z niewoli bolszewickiej; udało mu się zbiec.

Powiadał, że wszystkich jeńców-Polaków „biorą w sołdaty i gnają ich na front syberyjski".

Bolszewicy cieszą się, że za 2 tygodnie będą w Warszawie.

Katjeni, 14. 7. 1920 r.

Wczoraj wieczorem krwawe ataki bolszewickie na całym naszym odcinku.

Huk armat przeraźliwy, wrzawa walki, ogień huraganowy na nasze pozycje jak to we wojnie światowej we Francji bywało.

Bolszewicy w nocy wtargnęli do naszych rowów.

Nasza kompanja techniczna z porucznikiem Władysławem Wleklińskim (z Trzemeszna) na czele, oraz saperzy naszej 17 dywizji, wyrzucili bolszewików z naszych pozycyj.

Całą noc ataki. Ze znużenia padałem na ziemię i znów się podnosiłem, bo sytuacja poważna nie dawała mi spokoju. Na szczęście odparliśmy ataki i wzięliśmy 8 jeńców bolszewickich, ubranych w mundury naszych żołnierzy, których jako jeńców obdarli z ubioru. Jeden bolszewik miał nawet rogatywkę wielkopolską na kudłatym łbie; zdarliśmy mu ją z głowy.

Ośm do dziesięciu kolumn nieprzyjacielskich uderzało na nas. Myśmy szczęśliwie ataki odparli, lecz sąsiednia dywizja nie wytrzymała naporu i cofnęła się.

Zapewne i my będziemy musieli się cofać, gdyż cały nasz front zagrożony. Cofniemy się pewnie na Wilno.

Więc rozpocznie się ciąg dalszy naszej tułaczki bez końca. Znów rozpoczną się utarczki z kozakami, znów artylerja bolszewicka będzie nas trapić swym ogniem.

*

O godz. 14,45.

Opuszczamy martwą wioskę Katjeni, by udać się w dalszy marsz na niepewny los, na walki bezowocne.

— Kiedy skrystalizuje się nasz front? Gdzie staniemy żelaznym murem broniącym bolszewicko-tatarskim hordom wstępu do serca Polski?

Tego nam żaden Wódz Naczelny powiedzieć nie może.

Walka nocna pod Smorgoniami.

Opuszczamy Katjeni, porzucamy Smorgonie, które dla nas żołnierzy były miejscem pełnem przykrych wrażeń i niemiłych przeżyć. Ogólna martwota i zniszczenie działały na nas deprymująco. Okropnym był dla nas pobyt w tych lochach kamiennych i zasiekach drucianych, które pamiętają tyle walk krwawych, tyle trupów, tyle pocisków siejących śmierć i zniszczenie.

W noc ostatnią, gdy ataki bolszewickie nie ustawały, żołnierze nasi, wycieńczeni nieustannym bojem, rzucali się gorączkowo na wdzierającego się do okopów wroga. I wtedy zdawało im się, że widzą w świetle pękających pocisków,

w chmurach dymu i kurzu duchy żołnierzy niemieckich i rosyjskich poległych tutaj w wojnie, która niedawno na tym samym terenie szalała. Opowiadali, że duchy te opuszczały swe groby i mieszały się we wir walki.

Była to walka pełna grozy...



Jan Klein, mjr. w. p.
dowódca 67 p. p. podczas odwrotu 1920 r.

A straszne były to duchy; ciało ich poszarpane w strzępy odpadało od nich... a kości i czaszki sterczały z pod mundurów i oznak wojsk carsko-rosyjskich i cesarsko-niemieckich.

Senni, wycieńczeni, widzieliśmy te walczące trupy na jawie. I okropna była to walka, w której udział brali zmarli, których szczęk broni wywabił z grobu. Mówią przecież, że duch żołnierza poległego na polu walki nigdy spocząć nie może, że czeka tylko na sposobność, by móc znów na nowo walczyć po śmierci, jak walczył miesiące całe zmarły za życia...

Na postoju.

Całą noc i cały nieomal dzień maszerujemy, cofając się przed wrogiem. Nad wieczorem pewnie dojdziemy do nowych pozycyj. Dowódca pułku, kpt. Jan Klein, nakazał 10 minutowy odpoczynek.

Żołnierze są bardzo przemęczeni.

Z dowódcą pułku przystanęliśmy przed jakąś chatą, która zwróciła naszą uwagę; była względnie czysta i porządna. Przez małe okienko widzimy twarze jakieś smutne, ze łzami w oczach na nas patrzące. Zapewne swoi tutaj mieszkają. Doszedłem do proga; drzwi się otworzyły i wyszła do nas dziewczynka, mogąca mieć 13—14 lat.

Typ prawdziwie polski. Włosy ciemne i oczy ciemne, smutne, łzami napełnione. Nosek cośkolwiek w górę zadarty! Stała nieśmiała na progu.

— Boisz się bolszewików? — zapytałem.

— Tak — odpowiada ze łzami.
— A dlaczego?
— Bo oni nas zabiją, bo my sami Polacy tutaj.
Pocieszam ją jak mogę, że znów wrócimy w te strony. Zapewniam, choć sam nie mam dużo nadziei.
Dziewczynka otarła łzy, pobiegła do chaty i przyniosła nam po kubku świeżego mleka. Za nią wyszła jej rodzina, ojciec i matka z malcem na ręku.
Nic nie mówili, ale widziałem w ich smutnych oczach jakby niemy żal i wyrzut czyniony nam, że ich opuszczamy. Wstydziłem się, że ich opuszczamy, sami w niemocy, w rozsypce, że jak ludzie z nieczystem sumieniem kryjemy się po lasach i po błotach. Wstydziłem się, że nie możemy zostać tutaj jako obrona i straż naszych rodaków.
Gniew straszny mię chwycił... gdybym mógł, i gdyby to miało jakiś cel, rzuciłbym się na tę żarłoczną hydrę bolszewicką i dusiłbym ją za gardło...
Myśli moje przerwała mi dziewczynka.
— A panowie znów przyjdziecie do nas? — pytała.
— Tak, napewno; postaramy się wyrzucić bolszewików z kraju.
Oblicze dziewczynki się rozjaśniło. Patrząc na nią i na jej miłość do Polski, zaczynałem już sam wierzyć w me słowa. Ból Polaka, mieszkającego na kresach Polski, jego tęsknota za wolnością Polski, dodała mi wiary w nasze posłannictwo. Zacząłem wierzyć, że obecna nasza klęska, to tylko przejściowa.
Te oczy smutne i te łzy żałosne małej Polki mówiły mi, że przyjdzie dzień, w którym śnieżnobiały Orzeł zmieni swój lot i wyrzuci szponami swemi dzikiego najezdcę z granic Rzeczypospolitej.

Dies ater.

Motto: Dopóki idą naprzód, dopóki spodziewają się zwycięstwa, — dopóty zjednoczeni są z sobą, jak palce u jednej ręki; wola dowódców jest prawem dla wszystkich. Ale gdy zmuszeni są do cofania się, wówczas zaczynają wierzyć już tylko w samych siebie i nie znają rozkazu. I ludzie ci dumni, — ludzie, którzy wesoło szli do boju z nieprzyjacielem, rozchodzą się, jedni na prawo, drudzy na lewo, czasem sami, czasem gromadami.

Wówczas ci, którzy niedawno drżeli przed nimi, ośmielają się, stają się zuchwali...

Erckmann-Chatrian: „Bitwa Narodów".

16. 7. 20 4 godz. rano.

Biwakowaliśmy przez całą noc w lesie. Zimno było; spać nie mogłem.

O 5-tej ruszamy dalej.

Słychać już strzały armatnie.

Czy my się szczęśliwie wycofamy na Lidę? Bóg wie; mówią, że Lida już odcięta. Nasz tabor ciężki ma być w rękach wroga.

Niepewność dręczy nas.

Co nam dzisiejszy dzień przyniesie?

*

Godz. 13-ta.

Dwa konie lekko ranne. Strat w ludziach dotąd żadnych.

Był to zapewne patrol silniejszy, który nas niepokoi.

Kulki koło głowy nam gwiżdżą.

Jesteśmy w marszu, na czele kilometrowej kolumny.

Z lewej flanki nieprzyjaciel nas ostrzeliwuje.

Artylerja nasza wyjechała z kolumny i zajęła pozycję na trakcie, by odpowiadać na ogień bolszewicki.

*

Godz. 23-cia.

I poszliśmy dalej na Geranony, a tutaj był sąd ostateczny. Bolszewicy maszerowali sąsiednim traktem, wzdłuż naszej kolumny i wnet nas wyprzedzili.

Późno dopiero ich spostrzegliśmy. (Łudziliśmy się nadzieją, że to nasi na pobliskiej drodze się cofają.)

Gdyśmy poznali bolszewików, obsypaliśmy ich pociskami artylerji. Oni zaczęli odpowiadać.

Między godz. 17-tą a 18-tą rozwinęła się nasza przednia straż, by przeciwstawić się bolszewikom, którzy nas zaatakowali z przodu, odcinając nam odwrót.

Żołnierz nasz zmizerowany, słaby, wycieńczony, ledwie się wlókł...

Bolszewicy obsypali nas takim huraganowym ogniem, że nerwy naszym biednym żołnierzom wypowiedziały posłuszeństwo. Nie znieśli ognia i ataku bolszewickiego i zaczęli uciekać w nieładzie. Artylerja bolszewicka sypała w nas całemi salwami. Granat pękał koło granatu; odłamki pryskały na wszystkie strony, a wierne konie nasze drżąc ze strachu, stawały dęba.

Oficerowie starali się zebrać nasze rozsypane przednie siły. Żołnierze jednak przerażeni nagłym a silnym atakiem, zaczęli się kryć po zbożach, w sąsiednim lasku, spłoszeni jak zające. Dużo z nich w mych oczach poległo; rozszarpani przez granaty, padali gęsto na placu boju. Bogu mą duszę poleciłem i uježdżałem po polu, by zbierać nasze rozsypane siły.



ujeżdżałem po polu by zbierać nasze rozsypane siły... str. 25

Kilku oficerów tak z piechoty jak z artylerji rannych.

Na czele kolumny wre krwawa walka, a co dzieje się na tyłach, przy reszcie kolumny?

Trudno kolumnę w oka mgnieniu przeistoczyć w linję bojową, o ile się posiada wozy i ciężkie armaty. Jest to tylko balast w sytuacji takiej, jak powyższa.

Walka, którą stoczyła nasza przednia straż, tak deprymująco podziałała na przelęknione umysły naszych biednych taborzystów i artylerzystów, co byli przy armatach i wozach kilometrowej kolumny, że, nie orjentując się wcale i nie wierząc w powodzenie nasze na czele kolumny, bez namysłu poodcinali uprzęż ciężkich armat i wozów i dosiadłszy koni pociągowych, zaczęli uciekać w przeciwległą stronę.

Powstał popłoch.

Na całej linji naszej kolumny wszystko zaczęło się cofać, uciekać, zostawiając tabor i armaty na łasce Bożej.

Oficerowie zaklinali żołnierzy, dowódcy sami rzucali się w wir walki, by ratować sytuację.

Zapóźno! Bolszewicy stali się już panami sytuacji.

Cały front nasz się cofnął. W oka mgnieniu znikło wojsko i konie. Zostały na trakcie, jak okiem dojrzeć, tylko nagie armaty i opuszczone wozy.

Rozpacz nas ogarniała. Niejeden oficer, niejeden żołnierz wierny, życiem przypłacił daremny wysiłek odwrócenia od nas tej klęski.

Bolszewicy, widząc opuszczone wozy i armaty, z dzikim krzykiem zwycięskim rzucili się na ten łup bogaty, wrzeszcząc okropnie: „ura, ura".

Widzieliśmy jeszcze, jak przerzucali zawartość wozów, szukając naprzód żywności, bo u nich ten sam głód panował co u nas.

— A gdzie nasi?

Uciekali przez lasy, bagna, przez moczary i zarośla.

* * *

Z cząstką mego pułku i z 2 armatami, które zdołano wyratować, znaleźliśmy się w lesie. Porucznik Heidrich, jako najstarszy rangą oficer, objął komendę nad naszym oddziałem.

Obecnie odpoczywamy w lesie, na trakcie do Lidy.

Wszystko się cofa na Lidę.

Był to „dies ater", czarny dzień dla nas. Polska dziś miljony straciła...

Nie mamy łączności z resztą pułku i brygadą.

Armaty nasze, zostawione w tym dniu bolszewikom, udało się wojskom naszym podczas zwycięskiego pochodu za bolszewikami odebrać zpowrotem. Pociesza nas ten fakt, gdyż inaczej żaden żołnierz naszej brygady nie mógłby sobie przebaczyć tej klęski.

Dworki polskie na Litwie i Białorusi.

Podczas długich marszów, gdy byliśmy w odwrocie, przechodziliśmy przez niezliczone małe wioski polskie a także białoruskie, gdzie spotykaliśmy domy, pobudowane z drzewa i po części kryte słomą lub darniną.

Wszędzie ten sam obraz wiejski; chłopi i kobiety, choć lato i upał, w owczych kożuchach.

Wszystko, krajobraz i lud, świadczy o niskiej kulturze tych ziem polskich, pozostających tak długo pod panowaniem wschodniego okupanta.

Jakby oazami wyższej kultury, jakby świątyniami oświaty pomiędzy temi codziennemi obrazami ciemnoty i zacofania, były liczne dworki polskie, które spotykaliśmy po drodze.

Często nie wolno nam było wstąpić do nich, bo rozkazano nam dalej i dalej maszerować na pozycje wyznaczo-

ne. Kilka jednak razy, pamiętam, udało nam się pozostać dłuższy czas w takich dworkach polskich, gdzie rozłożyliśmy się z naszym sztabem pułkowym. Dziś jeszcze często wspominam sobie dworki polskie, jak Terezdwór pod Gołubiszczami, Małe Mojżeszowo niedaleko rzeczki Lebiody i inne, których nazw już nie pamiętam.

Miłe były te dworki, w których murach rezydowaliśmy, w których komnatach zapominaliśmy choć na moment o wojnie.

Terezdwór, dworek wybudowany z drzewa, lecz obszerny, piękny, otoczony pięknemi drzewami, z cudną aleją wysokich, starych drzew.

Zatrzymaliśmy się tutaj, by spocząć na chwilkę.

Nie było żywej duszy. Chodziłem po wszystkich pokojach i widziałem spustoszenia w nich poczynione i przedstawiałem sobie, jak mieszkańcy tego dworku pospiesznie pakowali swe kosztowności i jak uciekali, może do Warszawy.

Widziałem cudną bibljotekę, stare a drogocenne książki, widziałem olejne obrazy, które leżały porozrzucane po podłodze. Wszystko znajdowało się w największym nieładzie. Żal mi się zrobiło tych bogactw kulturalnych, które polska rodzina może przez wieki całe zbierała i które teraz, uciekając, porzucić musiała.

Tutaj, między ludem ciemnym, nie umiejącym po części czytać i pisać, ta polska rodzina szlachecka, od wieków na tej ziemi osiadła, była pionierem kultury polskiej i zachodniej. Dziś wszystko, co wieki całe zgromadziły, leży porozrzucane. Dziki bolszewik za godzin kilka najedzie tę siedzibę kultury i dopełni dzieła zniszczenia.

Żal zrobiło mi się tych pięknych obrazów, starych mebli, a zwłaszcza tych książek, które znalazłem w niezliczonej ilości, i które moje oko nęciły.

Kocham książki i uważam je wprost za istoty żyjące. Chciałem wówczas wszystkie zabierać i ratować przed zagładą. Była to moja pierwsza myśl na ich widok. Wnet jednak uprzytomniłem sobie, że i ja przecież uciekam, że mam tylko swego konia, że muszę każdej chwili być gotów do walki i śmierci. Skarby, które zabrać zamierzałem, przeszkadzałyby mi tylko lub zniszczały na słocie i deszczu.

Westchnąłem głęboko i pomyślałem w swej niemocy: Biedna Polsko, biedny stary dwoku polski, biedne kochane książki!

Małe Mojżeszowo, folwark i przepiękny dworek murowany, okolony pięknym parkiem. Wewnątrz ten sam stan co w Terezdworze. Książki, obrazy i różne papiery porozrzucane po pokojach. Służba folwarczna po odjeździe

swych panów przerzuciła wszystkie komody i szafy, szukając „skarbów" ukrytych. Sprzęty, krzesła, fotele połamane. Obraz barbarzyńskiego spustoszenia. Żal mi było tych bogactw i zabytków kultury polskiej na kresach wschodnich.

...O! inne czasy zapewne pamiętają te polskie dworki na Litwie i Białorusi. Pamiętają one może Rzeczpospolitą przedrozbiorową, wyprawy wojenne, huczne biesiady, gdzie to pan domu z staropolską gościnnością podejmował gości. Stoły uginały się od potraw, węgrzyn lał się strumieniami. Kurzyło się z czupryn, a wiwaty i „kochajmy się" rozbrzmiewały po komnatach. Muzyka Jankiela grała skoczne mazurki.

Może też wojsko polskie przechodziło tędy?

— Może nawet sam Napoleon był gościem tutaj? A później po rozbiorach Polski, może powstańcy szykowali się tutaj na krwawe boje z Moskalami? Może się ukrywali?!

Obrazy Grottgerowskie stają przedemną...

Dziś inne czasy; dworek pusty. Fala bolszewicka zalewa nasze ziemie, zagraża naszej kulturze. Gospodarze prawowici na tułaczce.

— — — — — — — — — — — — —

Gościem byłem w tych dworkach ze starą historją i tradycją. Trzeba było iść dalej przez lasy, rzeki, wsie i miasteczka, przez Dzisnę i Lebiodę.

Za każdym krokiem naszym Polska się zmniejsza, nasza kultura i nasze bogactwa giną.

Kawalerja nasza na tyłach pali mosty...

Płonne nadzieje.

Małe Mojżeszowo, dnia 17. 7. 1920, godz. 14,30.

Czy nareszcie ma się skończyć nasza tułaczka? Otrzymaliśmy codopiero rozkaz pozostania na linji rzeki Lebiody.

IV. armja dostała rozkaz rozpoczęcia kontrataku.

Nowa nadzieja zaczyna nas wszystkich ożywiać.

— Nie pójdziemy już więcej z powrotem, tylko naprzód!

— Boże, dopomóż!

Godz. 16,30.

Spokój. Wojsko odpoczywa. Tułam się po dworku i szperam po spustoszonej bibljotece; rozmyślam także nad naszem położeniem.

— Czy Pan Bóg kres położy naszej niedoli?

— Czy wstrzymamy wroga?

Godz. 17-ta.

We dworku zrobiliśmy porządek, uprzątnęliśmy rupiecie, rozłożyliśmy materace do spania. Czujemy się już silni i pełni nadziei.

Przypominamy sobie, że to dziś nawet niedziela. Żywność nadeszła, a przedewszystkiem papierosy. Zasiedliśmy na tarasie przed dworkiem i gawędzimy jak to teraz bić będziemy bolszewików. Oficerowie nawet karty do gry znaleźli.

Jedni grają w karty, drudzy wesoło opowiadają. Humor panuje wszędzie i tułaczka już zapomniana.

Żałujemy, że nie ma gospodarzy domu. Byłoby wesoło, gwarno. Córeczka zagrałaby na fortepianie; niedzielę spędzilibyśmy jak w domu.

Nagle zjawia się na zdyszanym koniu ordynans bojowy brygady i wręcza nam rozkaz. Z zapartym oddechem czekamy na to, co ten rozkaz nam nowego przyniesie.

Płonne były nasze nadzieje! O godz. 22,30 mamy ruszyć dalej, na nową pozycję, bo obecna już zagrożona.

Tak się skończyła nasza sielanka, nasza uciecha i nadzieja lepszego jutra.

Znów tułaczka, znów marsz całonocny przed nami.

— — — — — — — — — — — — —

Taki rozkaz, jak ostatni, do rozpaczy nas doprowadza. Na froncie spokój i cisza, bolszewika nie widać, a tu trzeba dalej uciekać, gdyż wróg uderzył na innym odcinku, przerwał nasz słaby front i zagraża nam z tyłów.

Trzeba w rozpaczliwej niemocy dalej a dalej ciągnąć i opuszczać ukochaną ziemię polską.

Sen porucznika Józefa.

Motto: Der Krieg ist eine wunderliche Mischung von Kummer und Freude, von Ernst und Scherz.

Sv. Hedin.

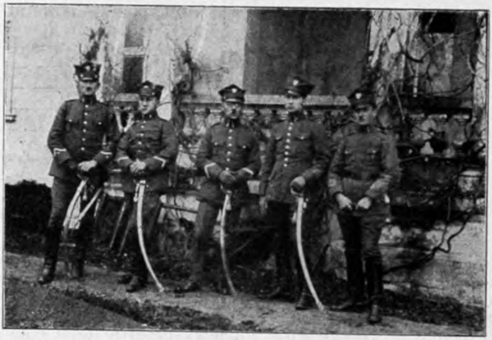
Już trzecią noc walczyliśmy bez przerwy z wrogiem, który w małych odstępach czasu ponawiał ataki. Spieszno było bolszewikom do Warszawy, która dla nich była wymarzonem miastem, ostatecznym celem, rajem obiecanym, gdzie głodni nakarmieni zostaną, gdzie chorzy uzdrowienie uzyskają, a nadzy i obdarci w godowe szaty ubrani będą. Dla tego też bolszewicy nie szczędzili ni sił, ni ludzi na zgniecenie naszego frontu, który im przeszkadzał w prędkim pochodzie na Warszawę.

Od tygodni nie pamiętaliśmy takiej pozycji, gdzie byśmy aż trzy dni utrzymali się na jednym odcinku. Chłop-

cy nasi wielkopolscy dokładali wszelkich sił, by wytrwać na posterunku. Nie spali, nie jedli, jak z żelaza lub z kamienia stali na tem miejscu, gdzie ich postawiono.

Wiedzieliśmy jednak, że prędzej czy później tej małej garstce naszej zabraknie sił i nerwów, albo co gorsze, że sąsiedzi nasi opuszczą pozycję, a my za nimi, „wiać" będziemy musieli.

Dotąd wszystko w porządku.



Sztab I. bataljonu 9. p. strz. wlkp. (67 p. p.) na froncie rawicko-leszczyńskim w r. 1919.

Ppor. Cichocki ofic. gosp., ppor. lek. Korzeniewski, por. Maryński dca bataljonu † nad Berezyną podczas odwrotu 1920, sierż. Pietrykowski adjt bataljonu, sierż. Witosławski płatniczy bataljonu.

Porucznik Józef Trawiński z Wielkiej Chociczy pod Wrześnią, zastępca dowódcy II. bataljonu, obszedł po nocnym gwałtownym ataku swoje pozycje. Pochwalił swą wiarę, bo niesłychana rzecz się stała: udało się jego ludziom wziąć do niewoli 4 bolszewików, którzy podczołgali się tuż pod nasze pozycje.

Po spełnieniu obowiązku, porucznik Józef poszedł do swego schronu, by napisać raport do pułku o działalności podczas nocy. Usiadł ciężko i na skrawku znalezionego papieru napisał słowo: „Raport". Głowa zaczęła mu ciążyć, ołówek wypadł z ręki, i por. Józef zasnął ze znużenia po kilkudniowych trudach.

Wchodzi ordynans bojowy. Choć także zmęczony, pręży się jednak jak struna przed swym dowódcą. Ponieważ

widzi, że dowódca śpi, raportuje dość głośno, by dowódca usłyszał: Panie poruczniku, jeńców bolszewickich przyprowadzono. Co z nimi mamy zrobić?

Porucznik śpi, nie słyszy.

Poczciwota żołnierz jeszcze głośniej powtarza raport.

Dopiero za trzecim razem, gdzie już na głos raportował, udało mu się zbudzić porucznika.

Ten przeciera oczy, patrzy nieprzytomny na ordynansa i po chwili znów schyla głowę i w półśnie odpowiada ordynansowi: zaprowadźcie ich... do stodoły... dać im... sieczki... siana... marchwi... owsa... żyta... i śpi dalej snem sprawiedliwego. Głowa opada mu na stół.

Ordynans słucha, walcząc ze snem, który go także męczy. Najprzód nie wierzy uszom swym, lecz, gdy porucznik we śnie się poruszył, jakby gniewny, że on jeszcze nie odszedł, woła po żołniersku: — Rozkaz, panie poruczniku — i odchodzi.

Wyszedłszy, zastanawia się nad tym zagadkowym rozkazem, natęża umysł, przeciera oczy, by zupełnie wytrzeźwieć i myśli sobie: Przecież bolszewik to człowiek tak jak i my... czyby on siano i sieczkę żarł?... A może to takie dzikie bydlę, że trzeba się z nim obchodzić jak z koniem lub krową?...

I patrzy na tych obdartych bolszewików i na posterunek, który nad nimi czuwa. Powoli dopiero zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że napewno nie można bolszewikom dać tego, co bydłu; zresztą skądby tu wziąć zaraz sieczkę i owies? Wszak i koń porucznika takich specjałów już dawno nie widział — pomyślał biedak, i wytrzeźwiał zupełnie rozumiejąc, że porucznik śnił zapewne o swych koniach w domu i o tem, że wydaje dyspozycje swym ludziom w W. Chociczy pod Wrześnią.

Przybył wreszcie ppor. Klucz, adjutant bataljonu z pozycji i wybawił poczciwego ordynansa z kłopotu, każąc jeńców odstawić do sztabu pułku.

Tak to nieraz między dramatem a tragedją naszej tułaczki po ziemiach polskich mieliśmy czasem chwile wesołe, przypominające sceny z... tragikomedji.

Niemen.

Motto: O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi.
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków.

Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów.
Adam Mickiewicz: „Konrad Wallenrod".

21. 7. 1920.

Na starej pozycji w Kloczkach wytrwaliśmy do godziny 3-ciej rano, choć bolszewik już nam zagrażał na tyłach.

O 3-ciej opuściliśmy, według rozkazu, pozycję dotychczasową i udaliśmy się przez Krzywoszki, Małe Stefaniszki na Żelazny Most, prowadzący przez Niemen.

Idziemy za Niemen, pozostawiając wszystko wrogowi. Cofając się bez odpoczynku, wnet ujrzeliśmy tę starą rzekę polsko-litewską, sławioną przez wieszcza naszego Adama Mickiewicza.

Szliśmy godzinami całemi wzdłuż Niemna, by dojść do Żelaznego Mostu. Inaczej przeprawić się byłoby trudno.

Niemen, rzeka słynąca jeszcze z bojów krzyżacko-litewskich, ma wody głębokie, a brzegi strome i drzewami obrosłe!

Dziwne myśli na widok Niemna roiły mi się po głowie.

Tutaj, jak Mickiewicz opisuje w swym „Wallenrodzie", była dawniej linja bojowa między Litwinami a Krzyżakami. Niemen dzielił dwa sobie wrogie żywioły, to jest germański i słowiański. Przedstawiłem sobie więc w głębi mej duszy, jak to dawniej Krzyżak, zakuty w żelazo, stał konno na jednej stronie rzeki, z mieczem w jednej, a z różańcem w drugiej ręce; na drugim brzegu zaś czatował Litwin w rysim kołpaku i bronił zażarcie dostępu do swej ziemi.

Pośród starych drzew litewskich i stromych brzegów Niemna widziałem jakby na jawie te dwie postacie z czasów dawno minionych.

Dziś, wieki całe później, inny obraz!

My prawowici właściciele obu brzegów Niemna ustępujemy za Niemen, cofamy się i oddajemy jego brzegi na pastwę dzikiego najeźdźcy, prowadzonego przez żyda czerwonego.

Co za kontrast między temi dwiema epokami historycznemi!

Dochodzimy do mostu; brzeg tutaj mniej stromy. Dojeżdżam do rzeki, wprowadzam w jej wody konia, by go w Niemnie napoić — jak to dawniej nasi rycerze czynili.

Most, przez który przechodzimy, jest już na pół rozebrany; gdy ostatni żołnierz polski przejdzie przez niego, wówczas on cały musi runąć, by utrudnić bolszewikom przejście przez Niemen.

Powiedziano nam że po drugiej stronie rzeki oczekuje nas pułkownik Pick, nasz dywizjoner (17 dywizja).

Każdy z nas więc poprawia na sobie podarty mundur i pręży się, by zrobić jak najlepsze wrażenie na swym wyższym dowódcy.



Jeszcze kilku wywlokło się z moczaru na suchy brzeg... str. 40

Dywizjoner wita nas okrzykiem: Czołem chłopcy; ściska oficerom ręce, dziękuje za przeprowadzenie pułku przez szeregi bolszewickie i zagrzewa naszych biednych żołnierzyków do nowej walki i ofiary za Ojczyznę, która znajduje się w potrzebie.

Wstydzimy się w duszy, że aż za Niemen uciekać nam przyszło, ale ślubujemy sobie, że teraz ani na krok dalej się nie cofniemy.

Tutaj nad Niemnem mają już być gotowe okopy; tutaj ma już nas oczekiwać ta od dawna obiecana, a przez nas upragniona — armja ochotnicza, nasze zbawienie.

Lecz — człek myśli, Bóg kreśli.

Bój nad Niemnem.

Motto: Dziś wróg podstępny i obłudny
Zadaje Polsce w serce cios.
Lecz tryumf jego jeszcze złudny,
Wszak szczęścia zmienny los.

Dziś wróg śmiertelny chce nas zgnieść,
I wydrzeć ziemię świętą,

Więc broń do góry musim wznieść
I wojnę wszcząć zaciętą.

Karol Kr.

23. 7. 1920 r.

Zostawiono nas na razie w rezerwie. Dochodzą nas wieści, że bolszewicy już zdążyli podejść do Niemna, że już atakują pozycje nasze w kilku miejscach.

Kozacy chcą się nawet wpław przeprawić przez Niemen; mówią niejedni, że istnieją brody łatwe do przejścia.

Sytuacja niepewna; na razie odpoczywamy.

— — — — — — — — — — — — —

Alarmowano nas. Wysyłamy na zagrożony front bataljon po bataljonie. Wnet i reszta pułku pójdzie do boju.

Czekamy!

*

Godz. 7,15.

Jeszcze czekamy. Kwatera nasza w stodole. W nocy ani mowy nie było o odpoczynku. Wciąż alarmy, wciąż rozkazy.

Nad ranem zdrzemnąłem się trochę i śniło mi się, że ta walka, którą toczymy, to walka nie o Niemen, lecz o rodzinną Noteć i o miasto rodzinne, nie z bolszewikiem, lecz z Niemcem-Heimatszucem. Przyśniły mi się czasy powstania wielkopolskiego w styczniu i lutym 1919 r. Widziałem we śnie, jak nasze oddziały powstańcze, stanowiące dzisiaj 9 pułk wielkopolski, pod naporem przeważających sił nieprzyjacielskich cofać się musiały. Garstka zuchów tylko wytrwała na posterunku zagrożonym, odpierając jeden atak wroga po drugim. I ta garstka uratowała sytuację całego frontu. Gdy przyszły posiłki, Niemcy nie wytrzymali naszego kontrataku i zaczęli uciekać. Z piersi naszej wyrywa się okrzyk: „Niech żyje Polska, Niemcy uciekają na całej linji!“

Szał zwycięstwa, szczęście, upojenie ogarnia wszystkich; rzucamy rogatywki w górę krzycząc: „Niemcy uciekają!“

Głos dowódcy pułku przerwał mi ten cudny sen. Trzeba było zabierać się w drogę, bo wzywano nas na front.

Błogi był to sen i błogie uczucie zwycięstwa, dla tego tylko zrozumiałe, kto duszą całą, nerwem każdym pragnął zwycięstwa, jak my wówczas.

Czy ten sen miał być przepowiednią zwycięstwa przyszłego?

— Boże, westchnąłem, daj zwycięstwo naszym bagnetom, uczyń cud na nami.

Opuszczają nas siły.

Godz. 11.

Alarm; cofamy się na Wolę.

Sąsiedni pułk opuścił pozycję, a my mamy łatać front pod ogniem kulomiotów.

Niema nad Niemnem oczekiwanych okopów, niema armji ochotniczej. Oficerowie starają się podtrzymać ducha w szeregach, lecz żołnierze nasi nie wierzą już w zwycięstwo i w swe siły; bez okopów i bez armji ochotniczej nie spodziewają się już żadnego polepszenia naszego położenia.

Wszyscy są już zmęczeni i apatyczni na wszystko.

— Niech się dzieje, co chce, — myśli niejeden z nich.

— Ja dalej nie mogę, pozwólcie mi spocząć.

— Nie każcie nam myśleć, nie każcie się cofać, lecz spocząć pozwólcie.

— Jeść nam dajcie, a jak zwierz rzucimy się choćby na suchy chleb i gdy się pożywimy, chcemy spać długo, bardzo długo, aby nareszcie odpocząć po tych długich marszach i nieustających walkach.

Tak myśli nasz żołnierz. Choć on nam tego w oczy nie powie, to jednak każdy jego ruch wskazuje na to, że trzeba mu spoczynku, żywności i jeszcze raz spoczynku.

Bolszewicy strzelają, ranią go, zabijają. On o tem nie myśli, nie straszy go nawet śmierć.

Armja nasza była nieomal w takim stanie wycieńczenia i zwątpienia, w jakim znajdowało się wojsko rosyjskie, gnane przez zwycięskich Japończyków po wielkiej przegranej pod Mugdenem i t. d. Leonid Andrejew opisał ten okropny stan wojsk rosyjskich w swym „Czerwonym śmiechu".

— — — — — — — — — — — — —

Zawracamy cofających się na prawem skrzydle, a lewe, — o zgrozo — już całe się wycofało.

Całe oddziały opuszczają linję bojową, zarażając się wzajemnie swym stanem psychicznym.

Żadna siła nie jest w stanie zatrzymać cofających się.

Kule gęsto padają; żołnierze nasi ani się nie kryją przed niemi, ani nawet głowy nie schylają.

Fatalizm ogarnia wszystkich.

Jesteśmy bezsilni. Żołnierze nasi już się wycofali, więc trzeba i nam się cofać, by nie dostać się w ręce następujących bolszewików.

Skracamy sobie drogę, przeprawiając się przez błotnistą łąkę i rzeczkę. Koń zapada po brzuch w błoto, — ale to nic, trzeba go wyciągnąć... trzeba się ratować.

„Ratuj się kto może!" Nikt tego rozkazu nie wydał, lecz wszyscy go wykonują, bo instynkt samozachowawczy tak każe.

Cofamy się, apatyczni, z flegmą i spokojem, bo mamy już w tem pewną praktykę. Głowy zwieszone, nikt nie myśli, bezwiednie wszyscy stawiamy nogi...

Nie formujemy szyków bojowych, ni oddziałów. Każdy idzie, jak mu najwygodniej.

Naraz z prawej flanki strzały!

— Kozacy — krzyknął ktoś.

Słowo to budzi nas, elektryzuje żołnierzy. Powstaje panika; wszystko ucieka jak stado przestraszonych sarn w przeciwległą stronę.

Uciekamy tak może godzinę; kozacy znikli. Żołnierze się uspakajają. Kroczymy spokojnie dalej po polach i łanach zbożowych.

A tu znów zjawiają się na horyzoncie sylwetki kozaków.

Żołnierze nasi znów chcą uciekać.

Oficerowie zaklinają ich i przekonują, że trzeba stać, utworzyć szereg lub, gdy trzeba, czworobok, oddać kilka salw na kozaków a oni znikną.

Nareszcie udało się nam żołnierza przekonać.

Oddano salw kilka...

Kozacy znikli...

Marsz w żarze słonecznym.

Motto: Ogromne, bliskie a okrutne słońce na każdej lufie karabinu, na każdej blaszce metalowej zapaliło tysiące malutkich, oślepiających słońc. — A te zewsząd, z dołu i z boków przedzierały się do oczu, ogniście białe, ostre, jak końce rozpalonych do białości bagnetów... A suchy, parzący żar przenikał do samej głębi ciała, do kości, do mózgu...

L. Andrejew: „Czerwony Śmiech".

Idziemy dalej, uciekamy.

Idziemy już może 8—10 godzin bez przerwy, bez odpoczynku.

Jesteśmy bez czucia; słońce pali i wyżera nam mózgi.

Siły nas opuszczają!

Parzący żar słońca przenika nam ciało i kości... Błędne koła tańczą przed naszymi oczyma.

Pułk nasz zmalał strasznie. Siła nasza: kilku oficerów i 300—400 szeregowych.

Idziemy bez ustanku, nie zwalniając kroku, nie podnosząc wcale tych, którzy z wycieńczenia padają. Oni szczęśliwi, że spocząć mogą, bezmyślni, bez czucia.

Nieprzyjaciel za godzinę tutaj będzie, podniesie ich. A może też słońce ich spiecze, ostrzem swego żaru ich zabije...

Myśmy wobec tego wszystkiego bezsilni. Prawo natury silniejsze od rozkazów, nalegań, próśb i groźb.

Cofamy się dalej, i coraz dalej w głąb serca Polski wchodzi wróg...

Słupy graniczne Polski na wschodzie, — to my — stały się ruchomemi, poruszają się, cofają się w głąb kraju.

Niema już Niemna; wnet nie będzie też armji polskiej, tej silnej i odpornej armji polskiej, która niedawno temu cały świat zadziwiała swem zwycięstwem.

Są tylko nędzarze obdarci, głodni, żołnierze-tułacze... A bezlitosne słońce lipcowe drwi z nas, pali nasze ciało, nasze mózgi...

Nie rzucamy jednak broni.

Motto: O karabinie mój, ty pokoleniom powiedz,
gdy huf nasz zdmuchnie los, jak wichry mlecz,
że każdy z nas, rycerski pogrobowiec
w spuściźnie godnie wziął płomienny miecz.

Fryling.

Obiecują, że wnet skończy się nasz nadludzki wysiłek, te tułaczki bez kresu.

Armja ochotnicza, okopy, umocniona pozycja i kontrakcja... to obiecanki już od tygodnia.

Żołnierz nasz chce nareszcie zobaczyć, że kraj o nim pamięta, że społeczeństwo gotuje się do pomocy walczącym z wrażą przemocą oddziałom. Nie widać jednak ani ochotników, ani pozycji umocnionej.

Nie dziwcie się, że niejeden z żołnierzy-biedaków zaczyna tracić ducha, że w pomoc waszą nie wierzy.

— Wszystko stracone — wzdycha ten i ów.

Mimo wszystko nie rzucamy broni!

Choć na pół żywi, jednak robimy, co obowiązek każe! Cofamy się... walczymy... maszerujemy... nie śpimy... nie jemy... dla Polski.

Zginiemy, lecz karabinów i bagnetów naszych nie rzucimy.

Nadzwyczajne życzenia.

Motto: Dziwna nas bierze chęć ujrzeć bajeczne,
Róż białych pełne, ogrody słoneczne;
Chcemy noc jedną z lubemi się czulić,
Rączki ich pieścić, pogłaskać i tulić.

Jeden jedyny w pełni lata móc dzień
Wśród traw przeleżeć, wokół z kwiatów mieć cień,
Na jedno tylko godziny wybicie
Twarz swoją wtulić w lubej splot w zachwycie.

E. Reinke: „Liryka wojenna": „W polu".
Tłom. Karol Kr.

Tygodnie, miesiące całe już wojujemy bez przerwy. Domem są nam lasy i jary, posłaniem trawa i mchy leśne.

Pokarmem naszym jest niedojrzały owoc polny i ogrodowy, woda ze strumienia napojem.

Zabawą i tańcem jest nam bój, wściekły bój z bolszewikiem; armaty i kulomioty przygrywają nam do tego tańca...

Żyjemy tak tygodnie całe, zapominamy już o wygodzie, zapominamy o kulturze życia domowego.

Jak przez sen przypominamy sobie, że w domu co wieczór kładliśmy się do czystej pościeli, rozbierając się do koszuli, i że spaliśmy bez przerwy noc całą.

Zapominamy też, że w domu myliśmy się, goliliśmy brody.

To wszystko dziś dla nas nie istnieje, to jakby opowieść z „Tysiąca i jednej nocy".

Dzikie brody nam porosły; między oficerem a żołnierzem dzisiaj niema żadnej różnicy. (Obaj taksamo brudni i obdarci.)

Czasem, podczas marszu nocnego, śnimy o przeszłości, o pokoju, o życiu kulturalnem.

— — — — — — — — — — — — —

A to wszystko, o czem śnimy, czego pragniemy, powrócić może za cenę jedną... za cenę wyzwolenia Ojczyzny ze szpon żarłocznego wroga.

A więc precz z bezpłodnemi marzeniami!

Dalej na bój!

Inaczej nie warto żyć! Jedynie Polska wolna robi nas wolnymi, daje nam wszystko, co jest naszem szczęściem.

Błota.

Motto: ....dans les lieux inconnus,
On n'avait pas de pain et on allait
pieds nus.
Ce n'étaient plus des coeurs vivants, des
gens de guerre;
C'était un rêve errant dans la brume,
un mystère,
Une procession d'ombres sur le ciel noir.
Victor Hugo: „L'Expiation".

Od rana rychłego jesteśmy w puszczy białowieskiej.

Kwatera nasza w lesie, front nasz na piaskach, wydmach, wzgórzach, między drzewami leśnemi.

Kulki świstają koło nas.

Żar słoneczny w powietrzu.

Trzymamy się na pozycji; bolszewicy atakują nas dość słabo.

Z łatwością odpieramy ich ataki cały nieomal dzień.

Ten względny spokój na froncie nas niepokoi. Czyby wróg miał inne plany?

Nad wieczorem przychodzi rozkaz: cofać się, bo bolszewicy nas okrążają.

Stara to taktyka moskiewska: gdzie tylko można, obejść wroga, nawet przez błota okrążyć, odciąć i zniszczyć oddzielnie.

Zaczynamy się cofać, lecz to już zapóźno na regularny odwrót. Drogę mamy już odciętą. Skręcamy w bok, w prawo, a tu łąka zielona.

Wchodzimy na nią i nawet wjeżdżamy konno.

Na skraju łąki mamy pod sobą jeszcze dość silny grunt, choć już cośkolwiek miękki.

Idziemy dalej, — a to bagna!

Konie grzęzną — błoto sięga im po brzuchy, a żołnierz wpada po pas.

Biedne nasze koniska (koń wojskowy jest czujny jak człowiek), świadome niebezpieczeństwa, chcąc się ratować, rwą się i rzucają się w jeszcze głębszą toń, szerząc wokoło zamęt.

Staramy się je wyciągnąć z błota, lecz jak im tu pomóc, kiedy i my sami coraz głębiej wpadamy w moczary.

Cofać nie możemy się, bo bolszewicy już na skraju łąki, już strzelają do nas jak do kaczek, topiących się w błocie.

Zabijamy więc konie wystrzałem z rewolweru. Na co mają się dłużej męczyć? Dla nich ratunku już nie ma.

A my? Topimy się dalej.

Trudno opisać, co się dalej działo.

Cały nasz pułk topi się. Wszyscy wpadamy po pas w błoto. Kto mniejszy wzrostem a grubszy, wpada po szyję w bagno i topi się.

Śmierć z dwuch stron zagląda nam w oczy. Bolszewik z brzegu strzela do nas, a topiel straszna w moczarach czyha na nas. Każdy myśli tylko o sobie. Jak się stąd wydostać?

Każdej trawki chwytamy się jakby deski ratunku.

Słychać krzyki tonących i jęki rannych; bolszewik dobrze strzela.

Nastaje sąd ostateczny...

Nikt nikogo ratować nie może, przeciwnie, jeden drugiego się trzyma i wciąga go z sobą w przepaść moczarną.

Kto zwinny a wzrostu wysokiego, ten jak piskorz rzuca się po błocie, pływa po niem jak we wodzie i dociera do brzegu tej zdradzieckiej łąki.

Siły już nas opuszczają w tej walce z błotnistą topielą; na szczęście jednak łąka zdradziecka nie zbyt wielka. Docieramy do brzegu, gdzie czeka nas zbawienie.

Tutaj jednak czyha na nas nowe nieprzewidziane niebezpieczeństwo: rzeczka błotnista, którą trzeba przepłynąć.

Rzucamy się w jej wody, by albo ręką dosięgnąć drugiego jej brzegu, — lub też by ją przepłynąć.

Chwała Bogu, udaje się to nam jako tako i — jesteśmy ocaleni, — choć nie wszyscy.

Ciemno się zrobiło.

Wychodzimy z tej błotnistej kąpieli przerażeni, bladzi, chorzy.

Mundury nasze mokre, błotem pokryte.

Już ocaleni, czujemy twardy grunt pod nogami, a iluż jeszcze walczy ze śmiercią, iluż tonie, iluż jeszcze krzyczy, jęczy?...

Noc zapada i ciemnym całunem okrywa ten straszny obraz.

Jeszcze kilku wywlokło się z moczaru na suchy brzeg.

Zimno przenika nas do szpiku kości; zmęczenie ogarnia nas śmiertelne.

Najchętniej rzucilibyśmy się na suchą ziemię, by spocząć... na wieki.

— — — — — — — — — — — — —

Nie formujemy szyków. Jeszcze wciąż jesteśmy pod wrażeniem przeżytego przerażenia; zaczynamy uciekać, jak nie-żołnierze, jak stado spłoszonych owiec.

Wszelkie ostrzegania, nawoływania, wszelkie prośby nie pomagają. Wszystko ucieka gromadą, a bolszewik okrążając moczary, suchą stopą postępuje za nami.

Już słychać strzały, i gdy się nie upamiętamy w naszej bezładnej ucieczce, to nas nieprzyjaciel wszystkich „wyłapie".

Na szczęście zrobiło się ciemno.

Udało się dowódcy pułku, kpt. Kleinowi, zebrać kilkunastu żołnierzy, zatrzymać ich i ustawić w szeregu, frontem do nieprzyjaciela.



bo cała ulica jakby trupami zasłana... str. 42

Po oddaniu kilku salw w kierunku wroga, uspokoiło się wszystko. Bolszewicy widocznie przestraszyli się naszemi salwami lub też ciemnościami nocy.

Spokój i cisza.

Zbieramy się, ale nie jako żołnierze, lecz jako towarzysze niedoli, jako tułacze. Prowadzimy się za ręce, wspieramy się wzajemnie w marszu, trzęsąc się od zimna.

A jednak był to pochód żołnierzy, gdyż żaden z tych, którzy wyratowali się z błotnej topieli, nie porzucił swego karabina.

Po błotnej kąpieli...

Zziębnięci, bladzi maszerujemy godziny całe. Maszerując rozgrzewamy się. Przechodzimy przez jakieś miasteczko, pono Michałów. Tutaj sami Polacy mieszkają.

Mimo późnej nocy stoją ci Polacy przed swemi chatami i patrzą na nas biednych tułaczy.

Idziemy jak mary senne, obdarci, brudni, wycieńczeni, a księżyc oświeca nam blade twarze.

Żaden z tych michałowskich Polaków nie odezwał się do nas, nie pytał nas o powody odwrotu.

Był to niemy, głuchy ból, który im usta zamykał. Zapewne zrozumieli naszą mękę i może w duszy swej nie robili nam wyrzutów.

A jednak myśmy się wstydzili, że uciekamy...

* * *

Nad ranem dochodzimy do wioski Topolany.

Księżyc świeci przecudnie. Teraz dopiero odczuwamy śmiertelne znurzenie.

Oddział nasz, niemy, głuchy, jakby na komendę rzuca się na ziemię, na drogę, w rowy przydrożne, gdzie tylko miejsce znajduje i natychmiast wszyscy zasypiają snem twardym .

I oficerów ogarnia śmiertelna niemoc, lecz nie wolno przecież poddawać się zmęczeniu.

Staramy się obudzić żołnierzy naszych, by choć posterunek postawić, który nad śpiącymi czuwać będzie; — nikogo dobudzić się nie można. Wszyscy śpią snem twardym, podobnym do śmierci.

Przez ulicę przejść wcale nie można, bo cała jakby trupami zasłana. Leżą oni, jeden przy drugim i na drugim, przy drodze, przy chatach wioski, przy progach chat... Nie szukali noclegu w chacie samej, bo byli zanadto znużeni.

Nie można się nikogo dobudzić. I nas siły opuszczają. Tulimy się w mokre płaszcze i kładziemy się do snu obok naszego żołnierza, towarzysza niedoli.

Śpimy; żaden posterunek wojskowy nie czuwa; Opatrzność Boska czuwa nad nami.

A księżyc oświeca nasze trupio-blade, wymęczone twarze...

Odwrót w nocy.

> Słów wcale nie słyszałem.
> Wszyscy bowiem milczeli, jakby szła armja samych niemych. — A jeżeli kto padał, to padał w milczeniu; inni potykali się o jego ciało, upadali, w milczeniu podnosili i nie oglądając się, szli dalej — i jakby ci niemi byli jednocześnie i głusi i ślepi...
>
> Leonid Andrejew: „Czerwony Śmiech".

Na froncie wszystko się uciszyło; nie padł ani strzał. Żołnierze na pozycji poczęli zasypiać, bo byli bardzo zmęczeni. I my owinęliśmy się w płaszcze i zaczęliśmy drzemać.

Północ dochodziła.

Nagle, niespodziewany ogień huraganowy, ogień piekielny z wszystkich kulomiotów i karabinów bolszewickich zaczął obsypywać naszą pozycję. Nikt się tego nie spodziewał, bo kiedy to bolszewicy atakują o północy?

A był to ogień straszny, jakiego już dawno nie słyszeliśmy. Kule pryskały, jęczały, syczały i siekły w lewo i w prawo, obcinając gałązki z drzew aleji i parku pobliskiego folwarku Zabłudowa.

Żołnierz nasz, który po całodziennej walce spał twardym snem, przeraził się strasznym wrzaskiem i hukiem strzelaniny, porwał się ze snu i jak piorunem rażony, zaczął pędem uciekać, wspinać się po płotach parku, przeskakiwać przeszkody, ginąć w zabudowaniach folwarcznych, uciekać drogą, rowami, przechodzić strumyk pobliski mostem lub też pieszo — jednem słowem: zaczął uciekać bez myśli, bez rozumu.

A wszystko to działo się w oka mgnieniu.

Żołnierz gnał na oślep w ciemności, jakby opętany przez czarne jakieś siły.

Wstrzymać nie było go można; noc stała temu na przeszkodzie.

W oka mgnieniu front nasz był ogołocony.

Zostaliśmy sami, dowódcy bez żołnierzy.

Stało się to wszystko tak raptownie, tak niespodzianie, że w pierwszym momencie osłupieliśmy z przerażenia.

Już słychać zwycięskie okrzyki bolszewickie: ura, ura.

— Co robić? Czy zostać i bronić się do upadłego?

— Nie, to niema sensu, jeszcze jesteśmy potrzebni!

Cofamy się za naszymi żołnierzami przez zabudowania folwarku i przez puste, blaskiem księżyca oświetlone ulice miasta Zabłudowa.

Za miastem dognaliśmy ostatnich uciekających. Zatrzymaliśmy się w lesie, dwa kilometry za miastem, tutaj znaleźliśmy naszych żołnierzy, którzy ochłonąwszy z przerażenia, zaczęli się gromadzić około nas i formować oddziały.

Tutaj dowiedzieliśmy się także, że dowództwo naszej brygady wydało już przed godzinami rozkaz wycofania się na Narew; rozkaz ten do frontu wcale nie dotarł.

— — — — — — — — — — — — — —

Maszerujemy więc... noc cicha, księżycowa. Idziemy godziny całe. Strach i przerażenie ustąpiły miejsca przemęczeniu z wycieńczenia.

Żołnierze nasi wloką się półsenni, apatyczni, bez życia, bez czucia.

Nogi, przyzwyczajone do długich marszów, same ich niosą.

Otuleni w resztki szmat mundurowych posuwamy się naprzód.

Jadę na mym wiernym koniu; wnet i ja zasypiam. Koń mnie sam prowadzi; śnią mi się przeróżne sceny ostatnich walk.

Budzę się nagle, bo koń mój uderzył kopytem o kamień. Spoglądam około siebie: Idą obok mnie i za mną senne mary naszych żołnierzy. Niejeden z nich pada; nikt na to nie zważa, czy on się podniesie, albo też już na wieki leżeć będzie. Wiem, że gdybym wołał teraz jednego z tych śpiących, nie usłyszałby mnie; idą oni jakby w letargu, ich ciała bez czucia.

Idzie armja niemych i martwych żołnierzy...

I znów zasypiam na koniu.

Za chwilę budzę się raptownie, przecieram oczy i patrzę przerażony.

Jestem zupełnie sam. Gdzie nasi żołnierze, gdzie mój pułk?

Noc cicha, zimna. Patrzę przed siebie, a tu widzę skały, jary, zaspy piasku, — to brzegi jakiejś wody, jak szara mgła przedemną leżącej.

Koń mój właśnie dochodził do tej wody i zapewne jak my wszyscy pogrążony we śnie, szedłby dalej i dalej we wodę...

Odgadnąć nie trudno, coby się stało z nami, gdybym w odpowiedniej chwili się nie obudził.

Wreszcie stwierdzam, że koń mój drzemiąc jak i ja odłączył się od oddziału. Nikt go nie zatrzymał, bo któż to widział w swym śnie?

Co teraz robić? Gdzie nasz oddział?

Z lękiem jakimś w duszy nawracam mego konia od tej strasznej wody.

Wytrzeszczam oczy, szukam drogi, szukam oddziału. Krzyczę... nikt mi nie odpowiada prócz szumu wichru pustej nocy ciemnej.

— Gdzie jestem? Co to była za woda? Dokąd koń mój mię zaniósł? Dokąd oni poszli, czy w lewo czy w prawo?

Zgubiłem wszelką orjentację, ale sen zupełnie odleciał odemnie.

Jadę w lewo, jadę w prawo, szukam, krzyczę, — choćbym nawet bolszewików zwabić miał mym krzykiem. Wszystko mi obojętne, byleby znów dostać się między ludzi.

Wreszcie nad ranem widzę może na kilometr przedemną jakąś czarną masę poruszającą się leniwie.

Pędzę w tym kierunku i — Bogu dzięki — odnajduję mój pułk kochany.

— To nasi, to moi — szepcą me wargi i dzięki składam Bogu, że zawiódł mię spowrotem do mej matki, do mego pułku.

To oni, ale oni jeszcze niemi, głusi, ślepi... oni jeszcze śpią...

Nikt nie zauważył, że zniknąłem, i nikt nie spostrzegł mię, gdy wróciłem.

Oni nie oglądają się za siebie, oni tylko idą przed siebie, bez myśli, bez czucia.

I dobrze tak! Ten stan martwoty bowiem, on im starczyć musi za sen całej nocy.

Jutro, gdy słońce wstanie, co nas czeka?

Walka, nowe marsze i znów walka.

Narew.

Nad błękitną moją Narwią
Najpiękniej się łąki barwią,
Najmiłośniej szumią drzewa
I najmilej słowik śpiewa.

W. Gomulicki: „Narew, moja rzeka".

Pierwsze brzaski dnia wschodzącego budzą nas z martwoty, w którą popadliśmy podczas marszu nocnego.

Słońce zaczyna wschodzić. Smugi czerwonawego światła obrzucają jakby świetlanemi snopami niebo i ziemię i rozpraszają ostatki nocy.

Dochodzimy właśnie do błotnistej krainy rzeki Narwi.

Trzy mosty prowadzą przez tę krainę pełną srebrnych wód i zielonych łąk.

Wszędzie wody, łąki i bagna.

Słońce wschodzi, a takie jaśniejące, takie gorejące.

Wody lśnią i świecą się jakby zwierciadła.

Mgły i opary unoszą się nad całą krainą.

Zaiste, cudny to widok przy świetle wschodzącego słońca!

Zatrzymuję mego konia na środkowym moście Narwi, a oddziały nasze przechodzą koło mnie.

Przecieram oczy i patrzę z zachwytem na ten dziwny, piękny krajobraz, rozpościerający się przed memi oczyma.

— Ach, gdyby tak można uwiecznić na papierze ten cudny poranek!

Mimo przemęczenia odczuwam czar tego przepięknego krajobrazu.

Pola, łąki, rzeka, wody, mgły, opary, błota, moczary, — zaiste to prawdziwie polski obraz...

Dziwne kryją w sobie moce
Tamte ranki, tamte noce,
Łąk nadrzecznych wonne kwiaty
I ziół leśnych aromaty

śpiewa W. Gomulicki o Narwi i jej krainie.

— — — — — — — — — — — — —

Przeszliśmy przez wszystkie mosty Narwi i rozłożyliśmy się obozem na łąkach narwiańskich i wypoczywamy.

Słońce już wysoko na niebie, opary znikły.

Ciepłe promienie słońca ogrzewają nasze zimne członki.

Wnet tutaj zawrze walka, a spokój i błogosławiona cisza, które mieszkają w tym uroczym zakątku Polski, opuszczą na długo łąki nadrzeczne błękitnej Narwi.

Nasz ludek polski.

Piątek, 30. 7. 20 r.

Zbliżamy się do terenów czysto polskich, do granic byłej Kongresówki.

Cofamy się po wielkich walkach; cofamy się, bo byliśmy otoczeni już z trzech stron.

Maszerujemy przez Świridy do Glinnik.

Tutaj to sami Polacy.

Białorusini kryli się przed nami w swych chatach, patrzeli obojętnie na nas, a Polacy współczują z nami. Wszyscy wylegli na drogę przed chaty i patrzą na nas.

Chłopów wcale nie widać; poszli zapewne do wojska. Dzieci tylko i kobiety zostały.

Kobiety urodne, ładne, — choć to prosty lud.

Wstydzimy się przed temi Polkami naszej niemocy.

One patrzą na nas smutnie, łzy mają w oczach.

Żal nam tego ludu polskiego.

Pytają nas: Dlaczego nas opuszczacie? Dlaczego pozwalacie bolszewikom do nas przybyć?

Smutno nam bardzo na duszy, bo nie wiemy, jak się uniewinniać.

Idziemy dalej, a te polskie kobiety płaczą za nami, płaczą w głos.

Już jesteśmy za wioską, lecz słyszymy jeszcze ich płacz, widzimy ich smutek.

Z naszego powodu płaczą polskie niewiasty.

Biedny nasz ludek, który pozostawić musimy na łasce losu.

...Cały dzień dziś niebo płacze; deszcz okropny spada na nas.

Zmęczeni, zziębnięci, zmoczeni tułamy się po lasach i siołach polskich, gnani przez wroga jak ten zwierz leśny.

Sobota, 31. 7. 20 r.

Ponieważ byliśmy przemoczeni aż do ciała, zrobiliśmy mały postój w Glinnikach, by się osuszyć i cośkolwiek odpocząć.

Ludek nasz taki miły, taki dobry. Chłopi zrobili ogień we wszystkich piecach wioski i każą nam się grzać.

Oni wyrzutów nam nie robią, lecz w ukryciu łzy sobie ocierają.

— — — — — — — — — — — — —

Domany — piękna polska wioska. Tutaj pewien polski gospodarz dał nam mleka i miodu i opowiadał, że Świrydy już przez bolszewików zajęte, i że Brańsk zagrożony.

— — — — — — — — — — — — —

Idziemy na Brańsk, gdzie nas oczekuje dowództwo naszej 17 dywizji, która we wczorajszej walce rozdzieliła się na dwie części.

— — — — — — — — — — — — —

W Brańsku pełno wojska, ale wszyscy myślą o odwrocie.

Nic jeszcze nie świadczy o tem, że pomyślano o obronie. Nie widać jeszcze okopów ani świeżych wojsk.

Popłoch.

Motto: ....gdy zmuszeni są do cofania się, wówczas zaczynają wierzyć już tylko w samych siebie i nie znają rozkazu. I ludzie ci dumni, — ludzie, którzy wesoło szli do boju z nieprzyjacielem, rozchodzą się, jedni na prawo, drudzy na lewo...

Erckmann-Chatrian: „Bitwa Narodów".

Gdy bolszewicy zaczęli strzelać, wszystko wybiegło z domów, chwyciło za karabin, by uciekać. Rozpoczął się dalszy odwrót z Brańska przez most, jeszcze nie ukończony.

Stało nas kilka oddziałów w Brańsku.

Wszystkie formacje chciały równocześnie przeprawiać się przez rzekę.

Rozpoczęła się walka o pierwszeństwo na moście.

Popłoch, straszne sceny.

Wozy, armaty, kawalerja, piechota, wszystko tłoczy się, najeżdża na siebie, by prędzej od drugich przejść przez most.

Nasz pułk jednak szczęśliwie wydostał się z tego strasznego zamętu.

Mówią, że z Brańska spłoszył nas mały patrol kozacki. Stwierdzić to teraz trudno.

Zresztą czy możnaby wydać o nas sąd potępiający?

Kto był świadkiem naocznym naszej tułaczki, kto widział wówczas naszego biednego żołnierza obdartego i zgłodniałego, — ten napewno nas nie potępi.

— — — — — — — — — — — — —

Nasze siły już za słabe, by Polskę wyratować ze szpon bolszewików.

Dajcie nam świeże rezerwy, dajcie okopy przygotowane, a pokażemy wam, jak walczyć umiemy.

Rozejm?

Niedziela, 1. 8. 20 r.

Już oddawna nie widzieliśmy gazety. Dowiadujemy się od polskich chłopów o warunkach rozejmu, który zaproponowali nam podobno bezczelni bolszewicy.

— Dziesięć lat okupacji Polski przez bolszewików; zaprowadzenie bolszewizmu w Polsce; oddanie ¾ taboru kolejowego bolszewikom; zredukowanie naszej siły zbrojnej do 20 tysięcy żołnierzy.

Z oburzeniem wołamy: Hańba, wstyd!

Nie chcemy rozejmu, nie chcemy końca naszej tułaczki za taką cenę!

Jesteśmy wszyscy zgodni, oficerowie i szeregowi, że lepiej śmierć ponieść, aniżeli podpisać taki hańbiący rozejm lub pokój.

Tu i tam padają słowa:

— Hańba, wstyd taki rozejm!

— Walka do ostatniego chłopa!

— Bić tych psubratów!

— Bić, walczyć do upadłego, bo co po nas, gdy Polski nie będzie?

— Całą naszą przyszłość osobistą budowaliśmy na wolności i niepodległości Polski.

— Gdyby Polska miała się hańbą okryć, to lepiej zginąć we walce bohaterskiej, aby przyszłe pokolenia nam nie zarzucały, że spowodowaliśmy czwarty rozbiór Polski.

I wszyscy jak jeden mąż ślubujemy: Będziemy walczyć do ostatka, jak to czynili nasi praojcowie i ojcowie, rycerze i powstańcy...

— Będziemy walczyć, choćby i zginąć przyszło.

— A gdy nie inaczej, pójdziemy na emigrację do Francji, jak nasi ojcowie.

— Dopóki będziemy potrzebni, Polski nie opuścimy!

Nurzec.

1. 8. 1920 r.

Wieczorem o godz. 11-tej udajemy się pod naporem bolszewików do Kuczyna nad rzeką Nurzec, gdzie wyznaczono odcinek naszej dywizji.



Maszerujemy więc... noc cicha, księżycowa... str. 43

Okolica rzeki Nurca, to także okolica pełna dróg roztopionych, pełna polskich bagien, łąk i błot.

Przechodzimy przez drewniany most, prowadzący koło młyna. Aby utrudnić bolszewikom przejście, palimy most za sobą.

Łuna palącego się mostu oświeca ciemną noc.

2. 8. 1920 r., rano o godz. 6-tej.

Zajęliśmy na noc pozycje.

Kawalerja bolszewicka chciała się przeprawiać brodem przez Nurzec.

Rozproszyliśmy ją ogniem kulomiotów.

Potem 6—8 kolumn piechoty atakowało nas.

Dowódca bolszewicki jechał konno przed kolumnami.

Nasi postrzelili go — uciekł.

Atak kolumn bolszewickich załamał się w naszym ogniu kulomiotów.

Dziwię się, że jeszcze nie dostaliśmy rozkazu wycofania się. Na jak długo Bóg pozwoli nam utrzymać pozycje?

Ładny dziś dzień.

Co będzie dalej? Kiedy nad Bug się udamy?

Mówią, że na tyłach praca wre...

Może jednak jeszcze wszystko nie stracone!?

— — — — — — — — — — — — —

Okolica tutejsza świadczy o polskiej kulturze.

Domy, choć z drzewa, ładnie podmurowane, obszerne i czyste.

Szkoda, że to wszystko zostawić musimy na pastwę bolszewikom.

Pewna stara kobiecina, u której wczoraj kwaterowałem, opowiadała mi, że syna jedynaka posłała na wojnę i że sama została.

Podziwiałem tę patrjotkę w chłopskiej sukni, gdy się żaliła na tych, którzy nie idą bronić Polski.

Nad Bugiem.

Dwaj bracia z siostrą w drogę się wybrali
Z Litwy Niemen, Bug z Wołynia zuchwały,
I Narew bystra, jako siostra starsza
Przyszła z Podlasia.

Sebastjan Klonowicz: Fragment z „Flisa".

4. 8. 1920 r.

Doszliśmy wczoraj po południu do Bugu.

Ponieważ do mostu było daleko, a bolszewicy blisko, kazano nam przeprawiać się brodem przez rzekę.

Było to pod wioską Myszybory.

Słońce cudnie świeciło nad tą ziemią i wodą polską.

Żołnierze nasi, by nie zamoczyć swego ekwipunku, rozebrali się do naga, zwinęli swe rzeczy w tłomok, który zawiesili sobie na karabinie i trzymając go nad głową przechodzili przez rzekę.

Przechodziły tak pułki całe. Woda sięgała żołnierzom do piersi a często do szyji. Kto miał konia, przejechał rzekę konno, buty tylko zamoczywszy.

Zostawiono nas na razie w rezerwie nad Bugiem, we wioskach Młynarze i Kółko.

Brzegi Bugu, to nadzwyczaj ubogie okolice; same tu wydmy, piaski i piaski, a na nich chaty ubogie, naród ubogi, lecz sympatyczny i serdeczny, szczerze polski.

Chłopi poszli do wojska, kobiety same zostały.

W naszej kwaterze zastaliśmy starą matkę z trzema córkami; synowie na wojnie.

Poczciwe te kobiety z nad Bugu płakały na myśl, że tak dużo mężczyzn przyszło do nich, a że one ani jednego teraz nie mają na stałe przy sobie.

Stara matka błogosławiła nas i Polskę i prosiła Matkę Boską, by los Polski odmieniła.

Sympatyczną była ta kobieta polska.

Biedna ona jak wszyscy tutaj z nad Bugu.

Te biedne kobieciny polskie skarżyły się nam, że Niemcy swego czasu bydełko i konie im pobrali.

— Wy nie Niemcy, ani Rosjanie, wy nasi biedni bracia Polacy — mówiły one.

Miło nam było między tym naszym biednym ludem na piaskach Bugu, na których rzadko co rośnie.

Opowiadały nam te kobieciny, że wiosną, gdy roztopy nastają, Bug wylewa i podchodzi pod ich ubogie chaty, położone na wydmach piaszczystych. Do miasteczka pobliskiego Sterdyny łódką wtenczas dojeżdżają.

— — — — — — — — — — — — —

Rezerwa długo nie trwała. Już w nocy przyszedł rozkaz odmaszerowania na odcinek wzdłuż Bugu, gdyż bolszewicy linję obronną przerwali. — Trzeba „łatać" dziury.

Pod ogniem kulomiotów bolszewickich obsadziliśmy dziś rano o 7-mej godzinie nasze pozycje. Po drugiej stronie Bugu widzieliśmy bolszewików, a zwłaszcza kozaków, pędzących na swych koniach we wszystkich kierunkach.

Dziwny spotykamy tutaj teren: piaski, moczary, rzeczki, czy odnogi rzeczek, wysepki i t. d.

Lud tutejszy pasie swe bydło na tych wysepkach, między bagnami zarosłemi olszyną.

Przejścia przez bagna tylko jemu są znane.

Przy obsadzie pozycji mieliśmy już jednego zabitego i kilku rannych.

My z dowódcą pułku, kpt. Kleinem, chcieliśmy się dostać do pobliskich wiosek Natalina i Adolfowa, lecz szukając drogi, zgubiliśmy się w bagnach bez wyjścia.

Jedziemy więc wstecz, bo jak tu wyjść z tych bagien?

Wnet spostrzegli nas bolszewicy i zaczęli nas obsypywać ogniem kulomiotów.

Kulki świstały nam koło głowy, gdyśmy pędzili galopem przez błota, piaski i rzeczki błotniste.

Konie drżały pod nami i serca nam drgały.

Szczęśliwie jednak przedostaliśmy się przez ogień kulomiotów, ale drogi wyjścia z tych moczar nie znaleźliśmy. Pewien chłop dopiero, pasący swe bydło na wysepce, wyprowadził nas z tego labiryntu bagien, błot i rzeczek.

Walki nad Bugiem.

Godz. 14,30.

Wioska Natalin.

Jesteśmy na miejscu przeznaczenia. Ciekawym, jak długo tutaj nad Bugem trzymać się będziemy.

Obiecano, że tutaj już wszystko gotowe do zatrzymania bolszewików.

A gdzie okopy, gdzie rezerwy?

*

Godz. 18,30.

Siedzimy w lesie ze sztabem pułku. W Natalinie odkrył nas bolszewik i zaczął ostrzeliwać artylerją.

O pięć do dziesięć kroków od nas padały pociski; dwóch gońców bojowych kontuzjowanych.

Przenieśliśmy się więc do lasu i tutaj pod rosochatem, starem drzewem mamy naszą kwaterę sztabową.

Narazie spokój nad Bugiem.

Jedynie patrole kozackie szukają brodów, by się przeprawić przez rzekę.

Odpieramy ich naszym ogniem kulomiotów .

*

Godz. 19-ta.

Wczoraj wieczorem, gdyśmy przyszli nad Bug, panował jeszcze wszędzie spokój. Kąpałem się nawet w Bugu; dziś już tam bój się toczy.

Jak długo się tutaj utrzymamy?

Konia naszego ordynansa zastrzelili dziś bolszewicy, a innego konia ze sztabu ranili.

*

Dnia 5. 8. 1920 r.

Jeszcze nad Bugiem w pozycjach.

Zdaje się, że front się ustali, że skończy się tułaczka.

W odcinku sąsiedniej dywizji była luka, ale już zapełniona. Inna dywizja, która miała przyjść na pomoc, była niepotrzebną, bo ta sama formacja wstydząc się, że wpuściła bolszewików, zrobiła kontratak i wypędziła ich zpowrotem za Bug.

Wczoraj o 23 godz. na naszym odcinku silny ogień kulomiotów; bolszewicy chcieli przeforsować Bug, bo już nawet łodzie spuszczali na rzekę.

Nasi żołnierze mężnie odparli wszelkie ataki.

Nowa nadzieja wstępuje w serca; może jednak Pan Bóg pozwoli utrzymać nasz Bug i nie wpuścić dalej bolszewików.

— — — — — — — — — — — — —

Dziś 5. 8. 1920 r. upływa cały miesiąc naszej tułaczki, naszych walk, przypominających boje powstańcze z 1863 r., walk odwrotowych, ciężkich, beznadziejnych.

Jak zmora wisi wciąż nad nami klęska, niepowodzenie, odwrót.

— — — — — — — — — — — — —

Nasza kwatera sztabu pułkowego jeszcze wciąż w lesie, koło Natalina.

Zbudowaliśmy sobie szałas i kwaterujemy pod drzewem.

Artylerja bolszewicka raz po raz strzela; bolszewicy mają dobrą obserwację na wieży kościelnej we wiosce Nur.

— — — — — — — — — — — — —

Ludność w Natalinie jest dla nas bardzo serdeczna.

Dziewczyny wiejskie sympatyczne i nawet ładne; boją się bolszewików i płaczą.

Często owoce nam znoszą.

W bagnach, w naszym odcinku, pełno bydła. Chłopi z całej okolicy, nawet z drugiej strony Bugu, przygnali potajemnie w nocy swe krowy na naszą stronę, w obawie przed kozactwem.

Prosimy Boga, by wreszcie nam pozwolił utrzymać pozycję i raczył zakończyć naszą tułaczkę.

*

O godz. 22-giej.

U nas wszystko w porządku, lecz sąsiedni pułk pono przepuścił bolszewików na naszą stronę.

Źle to, lecz może się jednak utrzymamy.

Teraz właśnie bolszewicy rozpoczynają silny ogień na nasze pozycje. Artylerja bolszewicka strzela. Czy bolszewicy chcą forsować Bug? Oni od pewnego czasu zawsze o tej porze atakują.

Za dnia był spokój.

*

Dnia 6. 8. 1920 r., nad Bugiem.

Trzeci raz już widzę słońce wschodzące nad Bugiem.

Trzy całe dni, trzy całe noce już trzymamy się tutaj i odpieramy wściekłe ataki bolszewickie.

Wczoraj o 23 godz. bolszewicy silnie atakowali, lecz nasi, a szczególnie artylerja nasza, dzielnie ich przywitała. Nieprzyjaciel z krzykiem i z przekleństwami uciekał w krzaki i do wiosek.

Trzymamy się, lecz na lewo od nas niepewna sytuacja. Kto wie, może jednak będzie trzeba opuszczać Bug i ludek nasz, który dla nas jest tak dobry, że nawet mleko nam przynosi na pozycję?

W naszym lesie słońce cudnie świeci.

Sen pokrzepiający.

Dnia 6. 8. 20 r., godz. 13-ta.

Przespałem się trochę i miałem piękny sen, który mię bardzo na duszy pokrzepił. Śniło mi się, że z całym

pułkiem byliśmy na odcinku. Siły nasze były słabe i pragnęliśmy pomocy.

Wtem — oczom swym nie wierzymy, a tu widzimy, jak całe kolumny wojsk spieszą nam na pomoc.

Liczne były te oddziały przybywające, a sprawne i pięknie uformowane były ich szeregi.

— Ach, to armja ochotnicza! — wołaliśmy zachwyceni.

— Jak oni pięknie wyglądają.

— Jacy oni wypoczęci.

— Jak dobrze ubrani, lecz jak dziwne mundury oni mają na sobie?

Wszyscy bowiem mieli mundury z pętlicami i czapki niby husarskie z wielkiemi biało-czerwonemi kitami.

I przechodzili koło nas, a każdy pułk był w inne kolory ubrany.

Szli krokiem miarowym, szli dumni, wyprostowani, pewni zwycięstwa.

Serca nasze rwały się ku nim; ręce nasze wyciągaliśmy do nich, a oni wcale na nas nie zważali, szli jak prawdziwi żołnierze, nie patrząc ni w lewo ni w prawo, tylko przed siebie.

Szli, a szeregi ich były niezliczone.

Szła armja ochotnicza, szło zwycięstwo!

Z radości serce mi w piersi biło gwałtownie.

Ordynans przynoszący z frontu raport bojowy przerwał mi ten piękny sen.

— Szkoda, że to był tylko sen.

Rzeczywistość była inna... inna...

Przemowa komunisty.

Motto: Nie liczba stanowi wielkość narodu lub wojska, ale cnota jego.

Erckmann-Chatrian.

O godz. 19-tej.

My nie wpuszczamy wroga, ale nasz sąsiad niefortunny — jak donoszą — miał dopuścić do zajęcia Białobrodów przez bolszewików. Zarządzono kontratak. Czy się uda?

Wczoraj wieczorem, po nieudanym ataku bolszewickim, komisarz czerwony przemawiał z drugiej strony rzeki do naszych żołnierzy.

Mówił mniejwięcej co następuje: Towarzysze, nie słuchajcie waszych oficerów, powieście ich za genit.... na pobliskiem drzewie; my wam niesiemy wolność prawdziwą, zrobimy was panami. Ci, co wam dotąd rozkazywali, będą musieli was słuchać.

Niesiemy wam wolność! Będziecie mieli raj na ziemi. Macie dziś chleb biały (były to keksy amerykańskie, które raz po raz dostawaliśmy), ale to nie wasz chleb; my mamy czarny chleb, lecz nasz własny.

Usłuchajcie mnie, a będzie wam dobrze w sowieckiej Polsce. Zresztą, wy i tak nas nie wstrzymacie. Wolności, którą Polsce niesiemy, nikt nie jest w stanie zatrzymać... Za 10 dni najpóźniej będziemy w Warszawie...

Tak prawił komunista; głos jego rozlegał się po cichej nocy księżycowej i dochodził do ostatniego naszego żołnierza. Gdy komunista przestał mówić, zaczęli się odzywać nasi żołnierze, co śmielsi byli i wołali:

— Nie chcemy waszego chleba, bo mamy własnego dosyć; nie chcemy sowieckiej, czerwonej Polski. My chcemy białej Polski z białymi orłami naszymi! Wasza wolność i raj bolszewicki nam jest dobrze znany; prędzej zginąć, niźli dostać się pod wasz knut...

Komisarz nie dawał jeszcze za przegrane; chciał jeszcze dalej mówić, lecz ogniem naszych kulomiotów spędzono mówcę z „mównicy" w krzakach.

•

Godz. 22-ga.

Kontratakiem wzięli nasi Białobrody zpowrotem.

Bolszewików wypędzono na drugi brzeg Bugu.

Artylerja znów strzela; czyżby nowy atak?!

Brygadjer dziś nas odwiedził i opowiadał, że pewna kobiecina, Polka, przeszła przez Bug i zdradziła nam, że bolszewicy między Nurem a Kamionką szykują się do przeprawy przez Bug i są gotowi do generalnego ataku na nas.

— Więc baczność!

Ochotnicy mają być niedaleko.

Dziś po południu artylerja bolszewicka ostrzeliwała wioskę Adolfów, gdzie była ulokowana nasza brygada. Pocisk trafił w stodołę, gdzie rozłożył się sztab. Jeden telefonista zabity, dwóch rannych. Z tego powodu dowództwo brygady ulokowało się także w lesie, niedaleko od nas.

Straszny rozkaz.

Dnia 7. 8. 1920 r.

Było wszystko w porządku. Odparliśmy wszelkie krwawe ataki nocne, skierowane na nasz odcinek.

Po przejęciu raportów bojowych, przesłanych przez nasze bataljony, zdrzemnąłem się chwilkę pod drzewem.

Budzi mię ordynans bojowy i doręcza mi rozkaz brygady.

Otwieram pismo, czytam... Najprzód nie rozumiem, nie mogę pojąć treści rozkazu.

Przecieram oczy, zapalam świecę, czytam, czytam drugi raz i łzy stają mi w oczach — a serce krwawi się z bólu...

Straszny okrutny to rozkaz: Należy natychmiast wycofać się z pozycji i opuścić Bug. Kierunek odwrotu miasto Kosów.

Długo, bardzo długo czytałem ten krótki rozkaz i wpatrywałem się w jego litery, zanim pojąłem w zupełności treść tego rozkazu, który nas dalej gnał w głąb kraju, bliżej Warszawy.

Runęło wszystko; nasze nadzieje utrzymania się nad Bugiem rozwiały się.

Łzy miałem w oczach.

Ordynans stał przedemną i czekał.

Spojrzałem na niego, i w jego oczach zobaczyłem żal i smutek. Jak on, tak każdy nasz żołnierz odczuwał znaczenie tego nieszczęsnego rozkazu.

Lecz rozpaczać nie wolno; trzeba działać, bo sytuacja niepewna; bolszewicy prawdopodobnie przedarli się na innym odcinku i będą nam zagrażać z tyłów.

Budzę dowódcę pułku; on nie wierzy mym słowom. Trzymamy jednak ten nieszczęsny rozkaz w ręku, więc trzeba go wypełnić.

Ściągamy nasze bataljony z frontu pod osłoną nocy i ruszamy dalej na nową tułaczkę.

— — — — — — — — — — — — —

Myśmy tak silnie trzymali linję Bugu, a teraz sobie iść musimy...

Straszny, okropny to rozkaz...

Rano 5-ta godz.; piszę krótko przed odmarszem.

Bitwa pod Kosowem.

(7 i 8 sierpnia 1920.)

> Jest coś cenniejszego, niż życie, jest coś bardziej niezbędnego niż życie.
>
> Georges Duhamel: „Vie de Martyrs 1914—1919 r.".

Zajmujemy pozycje przed miastem Kosowem. Miasto to polskie, nawet sklepy tutaj polskie i mają wygląd zachodnio-europejski. Dziwny to objaw: gdzie Polacy, tam czysto, tam widać porządek i kulturę, a gdzie żydostwo się gnieździ, tam brzydko, tam brudno. Zaciekawia nas Kosów, miasteczko w powiecie sokołowskim położone, niedaleko Stoczka, gdzie 14. 2. 1831 także walka o ziemię polską się

toczyła. Niedaleka przeszłość wraca: „Grzmią pod Stoczkiem armaty".

Ciężkie dziś czasy dla Polski.

Sterdyny, Dubów już zajęte przez bolszewików.

Nasza sąsiednia dywizja pono cała rozbita.

Na lewo od nas luka, przez którą bolszewicy się wdzierają do serca Polski.



Należy natychmiast wycofać się z pozycji i opuścić Bug... str. 56

Warszawa zagrożona.

Gdy Warszawa padnie, to koniec Polski.

Odetną nas, wcisną na Prusy, gdzie Niemcy nas internować będą.

Co nas czeka?

Niewola... lecz nie damy się!

Nasz pułk tak zmalał, że wnet będziemy mogli sobie zaśpiewać tak, jak 10-ciu z 4 pułku, o których piosnka głosi, że o kiju doszli do granicznego słupa pruskiego:

„Stój! kto idzie, krzykną pruskie warty,
My to dziesięciu, cały to pułk 4-ty."

*

Dnia 7. 8. 1920 r., godz. 23,30.

Na froncie już zaczęły się ataki. Bolszewicy chcą jednak za wszelką cenę zdobyć Warszawę.

Obawiamy się o losy Warszawy i całej Polski.

*

Niedziela 8. 8. 1920 r.

Trzymamy się na froncie.

Mamy być zluzowani przez inny pułk, silniejszy w ludzi, a my pójdziemy w rezerwę.

Bolszewicy wciąż atakują; nasi ich dzielnie odpierają. Artylerja nasza celnie strzela.

*

Niedziela dziś...

Wczoraj, gdyśmy przybyli do Kosowa, kazaliśmy się po długim czasie ogolić, to znaczy przystrzyc nasze brody; wszyscy oficerowie naszego pułku bowiem, — a niewielu ich zostało — zapuścili sobie brody. Ta broda nasza ma być symbolem weteranów naszego pułku.

*

O godz. 16,30.

Dziś w południe, gdyśmy chcieli spożyć nasz skromny obiad, padły strzały. Zdawało się nam, jakby ktoś koło okien naszej kwatery strzelał.

Wybiegamy na ulicę — a tu z przerażeniem spostrzegamy, że bataljony nasze się cofają.

Bolszewicy przypuścili atak generalny i przerwali naszą linję.

Nasi się cofają, a tu za pół godziny, to jest o 13-tej godzinie, mamy być zluzowani przez inny pułk.

— Trzeba naszych nawrócić!

Zatrzymujemy więc nasze oddziały i po zaciętej walce z wrogiem zajmujemy stracone pozycje.

Trzeba było honor pułku ratować.

Jeszcze kilkakrotnie bolszewicy atakowali gwałtownie. Trzy razy wyparli nas z pozycji, ale trzy razy krwawym kontratakiem odebraliśmy im zpowrotem utracone pozycje.

Trzeci raz utrzymaliśmy się całkowicie w zajętych pozycjach.

Był to sukces nielada! Jeszcze raz po długim czasie zabłysła nasza gwiazda.

Nasze pozycje oddaliśmy w porządku luzującemu nas pułkowi.

Wzięliśmy nawet kilku jeńców, m. i. jednego oficera bolszewickiego. Czterech komandyrów roty znalazło śmierć na polach kosowskich. Masa zabitych bolszewików leży na polu w kartoflach, w pobliżu kościoła kosowskiego.

Nasze straty nie są małe: 15 rannych i zabitych, ale straty bolszewickie są cięższe.

O godz. 16,30 zostaliśmy zluzowani, a rozkaz nakazywał luzowanie o godz. 13-tej.

Ludność Kosowa.

Obywatele miasta Kosowa, to patrjoci. Jak oni się cieszyli, gdyśmy bolszewików odparli, i gdy zobaczyli tylu zabitych bolszewików.

Chłopcy kosowscy zbierali na pobojowisku zgubioną i porzuconą amunicję bolszewicką i oddawali nam pełne czapki naboi.

Każdy nabój dziś kosztuje 15 marek polskich.

W Kosowie była składnica polskiej amunicji artyleryjskiej. Krótko przed naszem przybyciem miało być w tej składnicy, jak opowiadano, jeszcze około 400 pocisków. Polacy tutejsi widząc, że armja polska swej amunicji dla braku wozów zabrać nie może, zakopali ją i ukryli przed bolszewikami.

— Jak wrócicie — mówią — to wam się przyda!

Obiecują nam, że jak wracać będziemy, to z wszystkich sił nam pomagać będą.

— Będziemy psuć mosty, przekopywać drogi, by bolszewikom utrudnić odwrót, by wozów i armat wycofać nie mogli.

Kosowianie uskarżają się na tutejszych Żydów, że sprzyjają bolszewikom, i że oczekują ich przybycia.

— Żydzi chleba już nie pieką od kilku dni; wszelkie zapasy mąki zostawiają dla bolszewików — tak skarżą się poczciwi Kosowianie.

Bohaterowie.

Dulce et decorum est
pro patria mori.
Horatius.

Nasze zwycięstwo pod Kosowem było wielkie, ale kosztowało dużo ofiar.

Nasz pułk tak zeszczuplał, że go pułkiem już nazwać nie można.

W walkach pod Kosowem bohaterami byli wszyscy nasi żołnierze, a zwłaszcza ci, którzy życiem swem okupili zwycięstwo.

Kto wspomni, kto należycie uczci tych, którzy zostali tam na polach kosowskich, i którzy już nie wrócą do domu swego?

Widziałem ich zabitych, poszarpanych przez granaty; widziałem, jak ich nogi odcięte wieziono koło nich na wózku.

Padło tam trzech oficerów, dzielnych dowódców kompanji i około 9 szeregowych.

Bohaterowie...

Jeden z tych poległych oficerów, to młody student prawa, przybyły dopiero wczoraj do nas, ppor. Jan Jakób Stec z Krakowa.

Nie znaliśmy go jeszcze wcale jako żołnierza, nie wiedzieliśmy, co o nim sądzić.

Dostał w udziale dowództwo 6-tej kompanji.

Podczas walki widzieliśmy, że ppor. Stec mężnie prowadził swą garstkę ludzi do ataku.

Gdy szala zwycięstwa się ważyła, dowódca bataljonu, porucznik Szwed, przełożony podpor. Steca, zażądał od niego raportu. Podpor. Stec dobiegł do swego przełożonego, i choć kulki wokoło padały, wyprężył się przed nim jak struna i złożył raport swemu dowódcy, trzymając prawą rękę przy daszku czapki. Nie skończył jeszcze raportu... złowroga kula trafiła go w samo serce, i tak z ręką salutującą przy daszku czapki padł na ziemię, śmiertelnie trafiony.

Krew czerwona zalała jego pierś bohaterską. D-ca bataljonu, wojak zahartowany, gdy widział tego po żołniersku umierającego rycerza prawdziwego, zdusił łzę w oku i pochyliwszy się nad nim stwierdził, że śmierć go już zabrała w krainę, gdzie niema tułaczek i walk odwrotnych.

Niejeden z nas pozazdrościł temu młodemu oficerowi jego rycerskiej śmierci.

— — — — — — — — — — — — —

Jego odwaga żołnierska, jego pogarda śmierci zaimponowały nam wszystkim i choć był w dziewiątym pułku tylko 2 dni, to jednak wystawił sobie w naszych żołnierskich sercach pomnik wiecznotrwały.

Pogrzeb żołnierski.

(8. 8. 1920 r.)

> Praca była ciężka, a że była rzetelną, zaświadczą o tem tysiące mogił i krzyżów żołnierskich rozsianych po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej od dalekiego Dniepru do rodzimej Wisły.
>
> Z rozk. Nacz. Wodza.

Naogół czasu nie było, by pogrzebać poległych naszych bohaterów, bo bolszewik gnał nas bezlitośnie.

Dziś, po walce pod Kosowem było inaczej. Wywalczyliśmy sobie przecież rzetelnie spokój, a front trzyma

pułk, który nas zluzował. Żołnierze nasi wykopali dla poległych groby nad drogą, którą maszerowaliśmy, ułożyli w nie zabitych, usypali mogiły, przystroili zieloną darnią i porobili na prędce krzyże drewniane, które świadczyć mają o bohaterach naszego pułku.

Na krzyżach wypisano nazwiska poległych, co zginęli za Ojczyznę na polach kosowskich. Po trzech żołnierzy z kompanji każdego poległego stanęło nad grobem i wystrzeliło po 3 naboje na cześć poległym. A my świadkowie tej smutnej a wzniosłej uroczystości, przyklęknąwszy zmówiliśmy krótką modlitwę za spokój duszy żołnierskiej.

Był to krótki, lecz wzruszający akt. Nie było kapelana, któryby poświęcił mogiły bohaterów, więc my sami, przez naszą modlitwę, uświęciliśmy ich miejsca spoczynku, powtarzając w duszy słowa piosenki:

„Śpij kolego w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie.“

Nie dzwoniły tym rycerzom kosowskim dzwony kościelne, bo kościoła nie było w pobliżu; za to dzwoniła im cała polska przyroda, jak to M. Konopnicka śpiewa:

a gdy chłopu dół kopali,
zaszumiały zboża w dali,
dzwoniły mu przez dąbrowę,
te dzwoneczki, te liljowe...

Pułtusk.

(9 sierpnia 1920.)

...a potem nastąpił marsz do Zieleńca, stacji, skąd mieliśmy być ładowani na pociąg do Wyszkowa. Całą noc czekaliśmy na stacji. Wagonów nie było dla nas.

Wreszcie jednak część wojska naszego została jako tako załadowaną, a reszta z taborem musiała się udać pieszo do Wyszkowa.

Z Wyszkowa zawieziono nas samochodami do Trzcianki. Tutaj niepewna sytuacja. W lasach sąsiednich mają już być bolszewicy. Nikt nic nie wie. Wojska tutaj dużo; nawet już jakieś wojska ochotnicze, — lecz porządku niema.

Warszawa zagrożona, lecz żołnierze tutejsi dziwnie obojętni na wszystko; jedzą, piją, a gdy słyszą strzały, zaraz uciekają; są to przeważnie młodzi, którzy dotąd wojny prawdziwej nie widzieli.

*

Dnia 10 sierpnia 1920 r.

O godz. 2-giej w nocy nastąpiła zmiana rozkazu. Idziemy na Pułtusk. Dzień cudny, słoneczny. Obecnie odpoczywamy w lesie.

*

O godz. 22-giej.

Dostałem po drodze jakąś gazetę.

Polska wydała odezwę do narodów świata.

Cóż to znaczy? Nikt nam nie pomoże, jeżeli my sami sobie nie pomożemy!

Inne narody nie rozumieją naszego położenia oprócz Francji, w której jedynie możemy pokładać nadzieję.

Jesteśmy obecnie w Bartodziejach, pow. pułtuski.

*

Dnia 11 sierpnia 1920 r.

Rozkazy, które odebraliśmy, były sprzeczne. Stanęło wreszcie na tem, że trzeba opuścić Bartodzieje i udać się na pozycje do lasów między Bartodziejami, Psarami i Popławami.

— — — — — — — — — — — — —

Piękny był to las; a tam, gdzie miała iść linja bojowa, była polanka. Słońce sierpniowe nas ogrzewało.

Bolszewicy wnet odnaleźli naszą pozycję i zaczęli nas ostrzeliwać.

Broniliśmy się do ostatka, choć otoczono nas z trzech stron.

Wreszcie zbrakło amunicji; kulomiot nasz został strzaskany kulą bolszewicką.

Dużo z naszych odniosło rany.

My leżymy na otwartej polance, a bolszewicy, ukryci w lesie, strzelają do nas.

Gdy widzieliśmy, że wszelka dalsza obrona polanki jest bezcelowa, dowódca pułku rozkazał odwrót.

Gdy wydano rozkaz: „cofać się“, żołnierze nasi, którym nerwy zaczęły już wypowiadać posłuszeństwo, jak szaleni zaczęli uciekać, nie zważając na żadne dalsze rozkazy.

Kulki bolszewickie gęsto padały; strzelanina była tak głośna i tak bliska, że uszy trzeba było zatykać, by nie ogłuchnąć. Jeszcze dziś się dziwię, że wyszliśmy żywi z tego gradu kul. Bolszewicy marnie strzelali.

Nasi żołnierze wycofali się w oka mgnieniu; zostaliśmy sami z dowódcą pułku. By nie wpaść w ręce nacierających bolszewików, zaczęliśmy także uciekać, i to małą dróżką, która prowadziła przez las.

Krasnoarmiejcy spostrzegłszy nas, gonili za nami.

Obracam się i widzę za sobą — o zgrozo — na jakie 30—40 kroków od nas, kilku bolszewików w czerwonych bluzach, szybko posuwających się za nami.

Bolszewicy krzyczą i robią znaki: „Polaczki, poddajcie się..."

Pot zimny występuje na nasze czoła; oddajemy ostatnie strzały, skręcamy w las, — ścieżka była na szczęście kręta. — Na chwilę gubią nas bolszewicy z oczu, a my wykorzystując tę chwilę, skręcamy ze ścieżki w głąb lasu i kryjemy się za gęstemi krzakami, tuż przy ścieżce.

Bolszewicy nie spostrzegają nas, bo pędzą ścieżką dalej, przelecieli już z krzykiem i hałasem, a nas nie widzieli.

— Chwała Bogu, jesteśmy ocaleni!

Przedzieramy się przez gęsty las, zdyszani, prawie bez tchu. Już widzimy wieże Pułtuska. Wnet będziemy ocaleni przed śmiercią lub niewolą bolszewicką.

Dochodzimy do Pułtuska prawie równocześnie z bolszewikami. Tutaj nasz pułk zajął pozycje i oczekuje nas i bolszewików.

Walki pod Pułtuskiem.

Pułk nasz ucierpiał bardzo w ostatnich walkach; liczy zaledwie kilka sekcyj. Dziś już wcale nie potrzebujemy sztabu pułku; dowódca pułku pełni dziś zaledwie funkcje dowódcy kompanji, a jego adjutant funguje jako sierżant kompanijny. Co do siły przedstawiamy obecnie jedną dobrą kompanję.

Gdy bolszewicy zaczęli atakować, nasi zdenerwowani walką leśną, zaczęli się niepokoić i myśleć o odwrocie. Zatrzymujemy oddział i gotujemy się do obrony. Tam,

gdzie znajduje się nasyp przy drodze, położony przed rzeką Narwią, rozciągającą się jak wał obronny przed Pułtuskiem, zbieramy naszych ludzi i zagrzewamy ich do boju. Miasto Pułtusk oraz rzeka znajdują się za nami; bronimy bolszewikom przejścia przez rzekę do miasta.

Bolszewicy zbliżają się do nas. Zaklinamy żołnierzy na wszelkie świętości, by spełnili swój obowiązek i ruszamy na bagnety. Dowódca pułku z adjutantem, z rewolwerem w ręku, wyskakują jako pierwsi z poza nasypu drogowego. Żołnierze nasi jeszcze nie pewni siebie i niezdecydowani, co robić. Przykład dowódców jednak działa. Więc za naszym przykładem wychodzą z pod nasypu i z krzykiem: „Niech żyje!" kierują swój bagnet w stronę wroga. Bolszewicy nie wytrzymują naszego gwałtownego naporu i zaczynają uciekać.

Pognaliśmy daleko w las i w lesie jeszcze kilka kilometrów.

Ubiliśmy dużo bolszewików, m. i. jednego oficera bolszewickiego, który dla upału walczył bez bluzy w białej koszuli, i który uciekających bolszewików bił swą szablą.

Poległym bolszewikom zabraliśmy ich gwiazdki bolszewickie z czapek. Radość wielka zapanowała w naszym oddziale z powodu tego tak szybko i niespodziewanie odniesionego zwycięstwa.

— — — — — — — — — — — — —

Wzięliśmy kilku bolszewików do niewoli.

Przyprowadzono m. i. pewnego młodego Moskala.

Kazałem przeszukać jego kieszenie. Wyciągnięto mu z zanadrza jakieś zawiniątko w szmatce białej. Był to obrazek św. Mikołaja na blasze malowany. Biedny Moskal — a był to jeszcze chłopak — płakał, gdyż myślał, że mu zabierzemy tę świętość i, co gorsza, że go zabijemy. Opowiadał z płaczem, że wzięto go przemocą w sołdaty, i że stara jego matka dała mu na drogę ten obrazek św. Mikołaja, który miał go bronić przed śmiercią. Uspokoiłem Moskala, oddałem mu obrazek i kazałem go odprowadzić na tyły.

— — — — — — — — — — — — —

Bolszewicy zaczynają się „podrabiać" pod nasze pozycje z drugiej strony miasta.

Krytyczne położenie.

Bolszewicy mogą wkroczyć do miasta z przeciwległej strony i odciąć nam odwrót przez Narew.

Rozkazano więc ogólny odwrót.

Około godz. 18-tej wszystkie nasze wojska wycofują się przez żelazny most na drugą stronę Narwi, do Pułtuska.

Mój pułk wytrwał na pozycji do ostatka. Kazano nam bowiem czuwać nad wycofaniem się wszystkich naszych oddziałów.

Już zaczęło się robić ciemno, gdy ostatni nasz żołnierz przechodził przez most pułtuski, który artylerja bolszewicka wzięła sobie jako cel swych pocisków.

Pociski armatnie padały we wodę, w lewo i w prawo od mostu. Każdej chwili mogły trafić w sam most.

Gdy byliśmy już kilkanaście metrów za mostem, pociski nareszcie trafiły w most, na którym na szczęście nie było już ani jednego żołnierza polskiego.

Opuszczamy pospiesznie miasto Pułtusk, maszerując w stronę Jeżewa. Bolszewicy zajmują miasto i ścigają nas ogniem artylerji.

Dzisiejszy dzień, to jeden z najgorętszych dni dla naszego pułku.

Modlin.

Dnia 13. 8. 1920 r.

Po różnych marszach pospiesznych i utarczkach, z okrążającym nas zewsząd wrogiem, wydano nam wreszcie dnia 13. 8. 1920 r. o godz. 2,10 rozkaz udania się w obręb fortyfikacji Modlina.

Dochodzimy do wioski Kiłkoły, pow. warszawski, położonej nad Narwią, niedaleko Modlina.

Tutaj pierwszy raz podczas całego odwrotu spotykamy początek prac fortyfikacyjnych. Żydzi, pozbierani z Nalewek, robią umocnienia polowe.

— A gdzie tu gotowe okopy? Gdzie armja ochotnicza?

— Dwa miesiące cofamy się, a tu jeszcze nic nie zrobiono.

Tak myślimy, rozpaczy i zwątpienia pełni.

— Czy my mamy bronić Modlina? Czy nie przyjdą nam na pomoc wojska ochotnicze?

Takie pytania stawiamy sobie i jesteśmy bardzo przygnębieni. Nie wierzymy w skutek kontrakcji.

*

Dnia 14. 8. 1920 r.

Dzień i noc całą zostaliśmy w Kiłkołach. Nad ranem rozkazano nam udać się do Modlina.

Tutaj spotykamy już cośkolwiek inny obraz: wojsko świeże, ochotnicy, marszówki dla naszych pułków; widzimy armaty i nawet czołgi.

Mówią ogólnie, że nasza kontrakcja już w biegu, że bolszewicy już się cofają. My jeszcze w to nie wierzymy.

W południe posłano nas do Stanisławowa. Mamy być rezerwą armji.

Odpoczywamy. Dostaliśmy nowy zapas do pułku. Razem 206 ludzi; podzieliłem ich na wszystkie nasze zdziesiątkowane bataljony. Są w tym zapasie nawet chłopcy 16-letni, ochotnicy. Wszyscy chcą bronić Polski.

Różne krążą wieści.

Powiadają, że dzisiaj 14-go sierpnia bolszewicy planowali generalny atak na Warszawę kilkoma dywizjami; nasza kontrofenzywa przeszkodziła temu; pono Mława już zpowrotem zdobyta; pono wzięto 500 bolszewików do niewoli; pono artylerja nasza strzaskała koło fortów Modlina całą sotnię kozacką; pono trupy ludzkie i końskie leżą pod fortami. Lecz — czy to prawda? My jeszcze w to wierzyć nie możemy.

— — — — — — — — — — — — —

Szykujemy się do nowej walki. Oby Bóg tylko błogosławił nam i naszym bagnetom.

Praca gorączkowa wre u nas, jak przed bitwą.

Czyścimy karabiny i kulomioty, porządkujemy nasze szeregi.

Zdala wciąż słychać strzały naszej ciężkiej artylerji.

Pali się coś koło fortów; zapewne wre tam walka.

— Czy nasi biją bolszewików, czy też bolszewicy naszych?

* * *

Z tego, co widzieliśmy, jednak przyznać musimy, że Warszawa porządnie się przygotowała do walki.

Wszędzie widać wojska, armaty, tanki i pancerki.

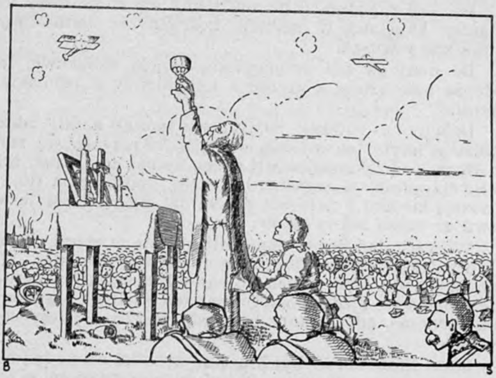
Wszędzie ochotnicy, młodzi i starzy.

Ojczyzna w potrzebie, więc wszyscy chcą jej bronić.

— — — — — — — — — — — — —

Noc zapadła. Pouczony doświadczeniem ostatnich tygodni, boję się, by nas w nocy czasem nie alarmowano, ponieważ bolszewicy się przedarli, lub, że Warszawa... zajęta, że wszystko stracone...

Za długo łudziliśmy się nieziszczoną nadzieją zatrzymania fali bolszewickiej i dlatego też nie możemy jeszcze wierzyć w powodzenie i zwycięstwo.



biliśmy się w piersi, korząc się przed Majestatem... str. 68

Niezwykłe nabożeństwo.

Niedziela 15 sierpnia 1920 r.

Jeszcze jesteśmy w rezerwie.

Słyszymy bliskie strzały armatnie; ziemia cała drży.

Nie wiemy, co się dzieje na pobliskiem polu walki.

Jesteśmy w ostrem pogotowiu; noc jednak przeszła dla nas spokojnie.

Rano o godz. 8,30 skomenderowano całą naszą 33 brygadę na mszę polową, którą miał odprawić nasz proboszcz dywizyjny, ks. Cichowski na polu, tuż koło naszej wioski.

— Ołtarz zbudowano na „bębnach i armatach" — śpiewał poeta czasów dawno minionych. Myśmy bębnów

już nie posiadali, a armaty były potrzebne na froncie, w walce o Warszawę. Ustawiono więc drewniany stół i postawiono na nim wiejski obraz; stół okryto białym obrusem.

Nasz proboszcz dywizyjny zaczął uroczyście celebrować mszą św.

Pułki stały w półkolu przy ołtarzu; w pośrodku zaś ustawili się oficerowie i nasz nowy dowódca 17 dywizji, generał Osiński.

Po 5—6 tygodniach doczekaliśmy się znów mszy św., ołtarza, kapelana w szatach kościelnych. Sama myśl o tem nas wzrusza.

Do mszy św. nie przygrywała kapela wojskowa, lecz jedynie huk armat i grzechot kulomiotów z pobliskiego frontu.

Dziwny, a potężny nastrój zawładnął nami; odczuwaliśmy nagle tak wielką potrzebę zwrócenia się znów do Boga, podziękowania Mu za to, że nas tak długo miał w Swej opiece, a zarazem potrzebę poproszenia Go, by o naszej biednej Polsce nie zapominał, by ją wreszcie wybawił ze szpon bolszewików.

Wszyscy jak jeden mąż biliśmy się w piersi, korząc się przed Majestatem Boskim w czasie podniesienia. Niejednemu z nas zagorzałych wojaków łzy stawały w oczach. Nie pamiętam, kiedym ostatni raz tak żarliwie się modlił, jak wtenczas, gdy armaty biły, gdy ważyły się losy całej Polski.

Msza skończona. Ks. kapelan wchodzi na podwyższenie i rozpoczyna kazanie. Mówi do nas wojaków o tem, cośmy przechodzili podczas całej naszej tułaczki i przypomina nam głosem żałobnym ciężkie położenie matki naszej Polski.

— Słyszycie huk armat — woła — co on nam ma zwiastować: czy klęskę, czy też zwycięstwo?

Łzy spadają nam na wąsate twarze.

— Hordy czerwone chcą zalać naszą białą Polskę, by ją zrobić czerwoną od krwi naszych braci. Żołnierze! Bracia! Upamiętajcie się, uprzytomnijcie sobie, że tu chodzi o Polskę, o was, o rodziny i dzieci wasze!

Trzeba stać! Trzeba bić, a nie wpuszczać dalej bolszewików.

Pomnijcie na ojców waszych, którzy setki lat przed wami z imieniem: „Jezus, Maryja" szli na wroga i życie swe oddawali w ofierze za wiarę i za ojczyznę, by wam przekazać ideę wolnej dziś i niepodległej Polski. Okażcie

się dziś godni ojców waszych. Walczcie mężnie i ofiarnie, tak jak ojcowie walczyli. Nie czerwonej, lecz białej Polski chcemy, za ten ideał wielki idziemy w bój, o taką Polskę Boga prosimy, a On nam dopomoże.

— Boże, dopomóż naszemu orężowi i pobłogosław nam!

Ze wzruszenia, które nas ogarnęło, klękliśmy wszyscy i niejeden z nas szlochał i bił się w piersi. Ks. kapelan modlił się nad nami, błogosławił nas i naszą broń i dał nam generalną absolucję.

Wszyscy odczuwaliśmy potrzebę tego żołnierskiego nabożeństwa, tego wstrząśnienia grzesznych serc i twardego sumienia. Wzbudziwszy szczery żal i skruchę w duszy, ślubowaliśmy sobie: Prędzej zginąć, aniżeli dalej wpuszczać bolszewika do kraju.

Po żarliwej modlitwie zaintonowano: „Boże, coś Polskę" i wszyscy śpiewaliśmy głosem błagalnym: „Ojczyznę, wolność zachowaj nam Panie!"

Śpiewał oficer, śpiewał żołnierz stary i młody, 16-letni ochotnik, śpiewał także licznie zgromadzony lud wiejski.

Orkiestrą wtórującą nam do śpiewu był huk armat i grzechot kulomiotów.

Idziemy naprzód!

Stanisławów, 15 sierpnia 1920 r.

W południe dano rozkaz: Pułk stoi gotów do odmarszu!

Dowódca pułku z adjutantem udaje się do dowództwa brygady po dalsze rozkazy.

Serce z trwogi nam bije: Czy dadzą nam rozkaz, by znów dalej się cofać? Czy pójdziemy za Wisłę? Za Warszawę?... nie jesteśmy w stanie dalej myśleć.

Stajemy przed d-cą dywizji gen. Osińskim i d-cą brygady pułk. Thielem. Dywizjoner rozwija mapę, pokazuje okolicę Modlina i daje nam ustny rozkaz do kontrataku, do ofenzywy z fortów Modlina na miasteczko Nasielsk.

Mamy uderzyć wzdłuż toru kolejowego.

Oczom i uszom naszym nie wierzymy. Objaśniają nam na mapie obecną sytuację i nasze zamiary ofenzywne.

Jesteśmy w naprężeniu wielkiem, jakby w gorączce.

Czy można wierzyć w zwycięstwo po tylu klęskach?

Udajemy się pospiesznie do pułku i ruszamy w drogę, na front!

Żołnierze i oficerowie nie wierzą jeszcze, że idziemy naprzód.

Jeżdżę od oddziału do oddziału i obwieszczam wszystkim po cichu, że odwrót się skończył, że idziemy nareszcie bić bolszewika i go gnać, jak on nas dotąd gnał.

Radość maluje się na twarzach oficerów i żołnierzy, że nareszcie nadszedł ten upragniony dzień odwetu i zemsty.

Niejeden z nas z uciechy zaśpiewałby sobie, pokrzyczał i poskakał z radości, lecz to nie wolno, gdyż znajdujemy się przecież w pobliżu wroga.

Panuje więc sztuczny spokój.

W sercu za to radość, szczęście, gdyż skończył się czas tułaczki i odwrotu, a następują dni odwetu i chwały żołnierskiej.

Zwycięski bój.

(15. 8. 1920 r.)

> A jednak wojna i miłość są dwiema jedynemi rzeczami, dla których rodzić się i żyć warto.
>
> Henryk Sienkiewicz.

Ostrzeliwani przez artylerję bolszewicką dochodzimy do zewnętrznych fortów Modlina, skąd ma się rozpocząć nasz atak.

Czekamy na rozkaz ataku; wszyscy czujemy, że zbliża się chwila przełomowa.

Około godz. 18-tej rusza naprzód nasz III. bataljon pod dowództwem porucznika Heidricha. Idą nasi wzdłuż toru kolejowego, jeszcze niespostrzeżeni przez bolszewików, którzy się usadowili w pobliskich wioskach na 1000 m od fortów modlińskich.

Nasza artylerja strzela z fortów.

Nareszcie nasi doszli do linij bolszewickich; nareszcie uderzają; rozpoczyna się walka na bagnety.

Bolszewicy zaskoczeni naszym atakiem zaczynają uciekać. Komuniści pędzą konno za swymi uciekającymi krasnoarmiejcami, którzy też ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zaczynają stawiać nam czoło. Na moment walka staje na punkcie martwym. Bolszewicy rozporządzają większemi siłami aniżeli my.

Posyłamy nasz II. bataljon do pomocy i znów posuwamy się naprzód i naprzód.

Pancerka „Lis-Kula“ pomaga nam.

Przybyło na pole bitwy dwóch francuskich oficerów sztabowych, którzy dają nam wskazówki i chwalą nasze postępy.

Idziemy naprzód! Chwała Bogu!

Pierwsza wioska Minkosinek zajęta i druga wioska już w naszych rękach.

Bolszewicy uciekają...

Wreszcie noc zapada; walka ucicha.

Spokój...

Nasi wojacy strudzeni walką usadowili się w wioskach zdobytych i odpoczywają, by z nowym dniem ruszyć dalej.

Szczęście maluje się na naszych twarzach; dumni jesteśmy z naszego zwycięstwa.

My, cośmy przeszło 1000 klm:. przeszli pieszo podczas odwrotu do Dzisny i jeziora Szo, aż do Modlina i Wisły, my, tj. ci sami, cośmy byli obdarci, zmęczeni, uderzamy na wroga i mścimy krwawo naszą hańbę żołnierską, naszą klęskę...

Dziś znów warto żyć. Serca żołnierskie skaczą z radości...

Straty nasze były dziś stosunkowo wielkie; nawet dowódca III. bataljonu ranny; ofiary te były potrzebne. Chętnie życie damy, by tylko uratować Polskę.

Dzisiejszy dzień, to 15 sierpnia 1920 r., to niedziela słoneczna, to dzień przełomowy, w którym pokazali Polacy, że jednak są zdolni pobić bolszewików.

Akcja w lewo i w prawo od nas rozwija się także pomyślnie.

Czujemy się szczęśliwi. Za szczęściem dnia dzisiejszego tęskniliśmy tygodnie całe, marzyliśmy o nim podczas czatów nocnych i podczas długich, męczących marszów odwrotnych.

16 sierpnia 1920 r.

Motto: Narodzie wstań!
Niewoli pęta zrzuć!
Do broni stań,
I pieśń bojową nuć!
Dość hańby Twej,
Dość łez i bólu dość!
Krew wroga lej,
Swą świętą wywrzej złość!
Spójrz ludu w dal,
Wolności błyska świt.
Więc ostrz swą stal
W orężu dziś Twój byt!

Karol Kr.

Noc przepędziliśmy na torze kolejowym, między naszymi żołnierzami. Na drugi dzień rano około godz. 8-mej nadjechały pancerki „Lis-Kula" i „Hallerczyk", a nasze bataljony ruszyły do ataku.

Uderzyliśmy znów wzdłuż toru kolejowego, nie zważając wcale na lewo i prawo, ni na tyły ni na flanki, które nie były wcale zabezpieczone. Zresztą nie trzeba było się obawiać jakiejś zasadzki ze strony bolszewików; musieli oni teraz myśleć o czemś innem.

Francuscy oficerowie, którzy nam od samego rana towarzyszyli, mówili, że nasz plan podejścia wroga wzdłuż toru, jest dobry i że nasze niespodziane ukazanie się w tyłach bolszewików zrobi na nich piorunujące wrażenie.

— Gdy was zobaczą na swych tyłach, zaczną w popłochu uciekać — tak mówili Francuzi.

I plan się udał.

Nasi gnali naprzód, wspomagani ogniem polskiej artylerji. Pułkownik francuski, znajdujący się w sztabie naszego pułku, ręce sobie zacierał i wciąż powtarzał po polsku: „Dobre wojsko, bardzo dobre wojsko. Voilà les bolchèvistes se réculent! „Nasi" dobrze biją!"

I rzeczywiście bolszewicy zaczynają się cofać; tabory wroga uciekają w popłochu. Raźno postępujemy naprzód, choć mamy dość poważne straty.

Dużo rannych; dowódca II. bataljonu, por. Kostrzewski, poległ, a adjutant III. bataljonu, sierżant Wiza, ranny w kolano.

Zajmujemy wioski Studzianka, Budy, Wągrodno i już widać cel naszej akcji, widać wieże miasta Nasielska.

Wolność i swobodę niesiemy.

Ludność oswobodzonych wiosek wita nas serdecznie, ze łzami w oczach. Znajdujemy we wioskach przeważnie kobiety, bo mężczyźni we wojsku, albo, co gorsze, na przymusowej służbie u bolszewików. Z płaczem opowiadają nam te polskie kobiety, że bolszewicy mężów z podwodami pobrali, że inwentarz cały albo zabrali, albo też spisali, by go później zabrać.



Naraz świst trzask i czuję wielki ból w prawem ramieniu... str. 74

Płacili rublami sowieckimi.

Pewna stara kobiecina pokazywała nam około 1000 rubli, które miała w swej książce do nabożeństwa; za gęś rekwirowaną dostała 500 rubli, za funt chleba 60 rubli.

Bolszewicy opowiadali, że teraz oni w Polsce panować będą; kazali chować ruble sowieckie, gdyż będą one miały w Polsce większą wartość od marki polskiej. Jeden rubel sowiecki będzie tyle znaczył, co 2 marki polskie — chwalili się bolszewicy.

Potrzebowaliśmy konnych gońców, znających okolicę. Chłopi i chłopcy z wiosek zgłaszali się na ochotnika; konie, ukryte przed bolszewikami, wyprowadzali z kryjówek i gnali z rozkazami do pancerki, do dowództwa i t. d.

Chłopacy zdradzali nam pozycje artylerji bolszewickiej; podawali nam siłę wojsk czerwonych; pokazali nam też, gdzie bolszewicy mieli swą centralę telefoniczną. Chłopcy i dziewczęta zwijali kabel pozostawiony, zbierali amunicję i karabiny porzucone przez uciekających bolszewików.

Kobiety częstowały nas mlekiem i chlebem, który zdołały ukryć przed głodną szarańczą bolszewicką.

Chętnie przyjmowaliśmy te ofiary, bo byliśmy głodni.

Bolszewicy — jeńcy z 39 pułku sowieckiego — mieli przy sobie naboje: dum-dum. Pułkownik francuski kazał jednego z nich za to na miejscu rozstrzelać. Bolszewik wytrzeszczał swe oczy na mundur francuski, a nasz poczciwy Francuz tłumaczył mu jak mógł, pół po polsku, pół po niemiecku: „Ja, Franzos euch bić, zabić für dum-dum."

— — — — — — — — — — — — —

Strzały padają dość gęsto.

Jadę na mym koniu bliżej linji. Pułkownik francuski ostrzega mnie, bym nie był zbyt śmiałym i konno nie podjeżdżał do frontu.

Śmieję się z niego; cieszę się zarazem, że idziemy naprzód. Razem z dowódcą pułku znajdujemy się tuż przy linji walczących i obserwujemy wroga. Naraz świst, trzask i czuję wielki ból w prawem ramieniu. Staczam się z konia, krew się leje rękawem: jestem ranny.

Dlaczego nie słuchałem doświadczonego Francuza? Teraz muszę opuszczać mój pułk i udawać się na tyły właśnie w chwili, gdy zwyciężamy. Jest to dla mnie bardzo bolesne.

Taka kulka zabłąkana musiała mnie trafić, a mijały mnie kulki, gdy byłem w różnych większych niebezpieczeństwach, w ogniu huraganowym, podczas odwrotu.

Gdy spadłem z konia, mój wierny ordynans Janek Paszkiet, który pochodzi jak i ja z Kcyni, a który przez cały czas odwrotu dzielił ze mną dolę i niedolę, przypadł do mnie, podniósł i zaprowadził mnie do pobliskiej chaty, bo nie było w pobliżu ambulansu wojskowego.

Wszystkie kobiety z wioski się zleciały, zmyły mi ranę karbolem, obandażowały mi ramię wielce lamentując; myślały te poczciwe matki, że będę zaraz umierał. Pocieszyłem je, że to przecież lekka rana.

— Nasz młody żołnierzyk ranny, tak musi cierpieć — wołały z płaczem.

Jedna z nich, poczciwa starowina, chwyciła delikatnie mą rękę obandażowaną i ze czcią pocałowała miejsce zranione.

Kobiety rozpłakały się na dobre; dały mi mleka, kazały na czystej pościeli się położyć. Nie korzystałem jednak z ich gościnności. Odchodząc od nich pocieszyłem je, że rana wnet się zagoi i że niebawem wrócę.

Gdy mnie Janek odprowadzał na tyły, błogosławiły mnie jako tego, „co krew przelewał za Polskę".

Wzruszyła mnie dobroć tych wiejskich kobiet, ta ich serdeczność i to uczucie dla Polski.

— — — — — — — — — — — — —

Odszedłem, a pułk mój bije wroga, gna go, mści się za swą tułaczkę, za swój odwrót przymusowy, zajmuje Nasielsk, forsuje Narew, zajmuje Pułtusk i wszędzie czyni cuda.

Polska ocalona.

Polonia salva.

Na froncie żołnierz polski bije krwawego najeźdzcę. Dzień w dzień nowe zwycięstwa. Gród za grodem, sioło za siołem odzyskują swobodę, a na tyłach wre praca gorączkowa.

Wszyscy wspierają armję frontową.

Znikają wszelkie walki polityczne. Polska, to dziś jeden wielki obóz! Marszałek Sejmu Trąmpczyński, posłowie wszelkich ugrupowań politycznych zwiedzają front, odwiedzają rannych i obdarowują ich.

W Warszawie i w Modlinie wszelkie stowarzyszenia poświęcają się pracy sanitarnej i pomocniczo-wojskowej.

Klerycy z Płocka przewożą rannych statkami parowymi na Wiśle z Modlina do Warszawy i obsługują chorych.

Nadobne panie Warszawy karmią głodnych żołnierzy.

Wszędzie praca, wszędzie ruch, wszędzie radość i wesele.

Polonia salva!

Potrzeba było tego niebezpieczeństwa bolszewickiego, by Polskę odrodzić, by spoić ją w całość, którą rozerwały rozbiory i trzy zabory.

16. 8. 1920 r.

Finał.

Pułkownik Adolf Małyszko w swej pięknie napisanej książeczce: „Uwagi starego żołnierza“ (Warszawa 1919) pisze:

„Próba armji na polu walki jest próbą dla całego narodu, jego kultury, jego cnót obywatelskich, zalet duchowych. Upaść może naród wielki, ale spodleć tylko nikczemny. Upadek narodu jest próbą jego sił duchowych. Narody silne poznają w upadku swoje błędy, czerpią mądrość z doświadczenia. Wzorem siły woli i mocy ducha mogą być Prusy w 1806—1813 r. Zdawało się, że naród upadł całkowicie. Wnet zapłonął gorący patrjotyzm. Prusacy wzięli się do gorączkowej pracy nad od-

rodzeniem kraju. Przeszło zaledwie 7 lat od Jeny, Francuzi ze zdziwieniem ujrzeli przed sobą groźną armję, idącą z entuzjazmem do boju za wyzwoleniem Prus z niewoli francuskiej. Niestety! Nie mogę dać podobnego przykładu z historji polskiej."

Pisał to pułkownik Małyszko w 1919 r. Gdyby był pisał swą książkę po sierpniu 1920 r., mógłby napisać: „Najpiękniejszy przykład mogę dać z historji polskiej!"

Zapewne napisałby pułkownik M.: „Próba armji polskiej na polu walki w sierpniu 1920 r. była najlepszą próbą dla całego narodu polskiego i polskiej kultury. Naród, który pokazał takie siły żywotne, fizyczne i psychiczne, zginąć nie może."

KONIEC.

Spis rzeczy.

Strona